

Rok XXII

Nr e-10 (219)

Październik 2008

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



**ODDZIAŁ WROCŁAWSKI PTTK
OFERUJE DO SPRZEDAŻY
NASTĘPUJĄCE WŁASNE WYDANE KSIĄŻKI**

1	Góry Stołowe - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
2	Góry Złote i Łądek-Zdrój - Krzysztof R. Mazurski	16 zł
3	Karpacz (Krummhübel) und Umgebung - Krzysztof R. Mazurski	6 zł
4	Masyw Ślęży - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
5	Masyw Śnieżnika i Góry Bialskie - Krzysztof R. Mazurski	15 zł
6	Miłość i dramaty królowy Marianny - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
7	Na południe od Tatr - Jacek Kolbuszowski	30 zł
8	Od Kolonii do Krakowa - Jerzy Piekalski	10 zł
9	Od ojcowizny do ojczyzny - praca zbiorowa	20 zł
10	Ziemia Kłodzka. Część południowa - Krzysztof R. Mazurski	5 zł
11	Była taka broń - Eugeniusz Rachwański	15 zł
12	Kowel - Eugeniusz Rachwański	20 zł
13	Krzemieniec i okolice - Janina Gusłowska	5 zł
14	Lwowskie wczesne dojrzewanie - Adam Dotzauer	16 zł
15	Lwów - wspomnienia lat wojennych - Janina Augustyn Puziewicz	20 zł
16	Międzygórze i okolice - Krzysztof R. Mazurski	8 zł
17	Mudrahela - Adam Holonek	5 zł
18	O wrocławskich tramwajach - Jerzy Maciejewski	12 zł
19	Przestrzenie i krajobrazy - Jacek Kolbuszowski	6 zł
20	Pudełko lwowskich wspomnień - Witold Szolginia	5 zł
21	Rowerem z Wrocławia - Jerzy Maciejewski	13 zł
22	Sudety czeskie - Marek Staffa	2 zł
23	Sułów i okolice - Roman Jaśniewski	12 zł
24	Śląski Labirynt Krajoznawczy - red. Julian Janczak, nr 3	10 zł
25	j. w., nr 4	6 zł
26	j. w., nr 5	6 zł
27	j. w., red. Krzysztof R. Mazurski, nr 8	10 zł
28	Krajoznawstwo PTTK 1950-2005 - Krzysztof R. Mazurski	30 zł
29	Tamten Lwów V - Witold Szolginia	6 zł
30	Tamten Lwów VI - Witold Szolginia	6 zł
31	Tamten Lwów VIII - Witold Szolginia	8 zł
32	Zapach monsunu - Maria Sawicka	15 zł
33	1000 lat wrocławskiego sportu - Ordyłowski, Ostrowski	12 zł
34	Futbolistka - Mirosław Olędzki	10 zł
35	Geografia turystyczna Sudetów - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
36	Moja medycyna - Augustyna Puziewicz	30 zł
37	Narciarstwo wędrownicze - Konrad Ostańkiewicz	10 zł
38	Pielgrzymy 2001	20 zł
39	Przez światy poetyckie Salomei Kapuścińskiej - Mirosław Olędzki	15 zł
40	Taki świat t. 1-3 - Andrzej Bartyński	30 zł
41	Wiersze dla dzieci - Anna Surmach	5 zł
42	Wróc, bo czereśnie - Andrzej Bartyński	10 zł
43	Znakowane szlaki w Karpatach Polskich - Andrzej Matuszczyk	14 zł
44	Krzyszów i okolice - Krzysztof R. Mazurski	8 zł

Przy sprzedaży wysyłkowej zostanie doliczona opłata pocztowa w zależności od ilości zamówionych pozycji.
Wszelkich informacji co do oferty udziela biuro

**Oddziału Wrocławskiego PTTK
Rynek-Ratusz 11/12**

50-106 Wrocław

Tel. 0713430344, e-mail: biuro@pttk.wroc.pl

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

SPIS TREŚCI

X Spotkanie Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku” za nami... – <i>Piotr Dacko</i>	2
Z naszego regionu	
Kaczawskie Podgórki – <i>Krzysztof R. Mazurski</i>	4
Zamek Kliczków	5
Tramwajem przez Górny Śląsk – <i>Marcin Wasiak</i>	6
Duszniki-Zdrój rozwijają turystykę – <i>Dagmara Kacperkowska</i>	8
Ojczyste szlaki	
Lutowiska – <i>Joanna Jęczalik</i>	10
Liberator w Górcach – <i>Adam Kutny</i>	13
Wędrówki po zamkach Wielkopolski – <i>Joanna Grzesiak</i>	14
Trasa miesiąca	
Na Klekociny i Halę Kamińskiego – <i>Juliusz Wystouch</i>	16
Globtroter	
Jak zdobyłem Mont Blanc? – <i>Ryszard Tunkiewicz</i>	18
Gdzie kończy się ziemia... – <i>Elżbieta Sobkowiak</i>	21
Przyroda i historia Niagary – <i>Janusz Prociński</i>	23
Norwegia Krajem Partnerskim TOUR-SALON 2008 – <i>Marta Sykucka</i>	25
Z turystycznych kręgów	
W pięćdziesiąt lat później – złoty jubileusz (2) – <i>Tomasz Kowalik</i>	26
Śnieżka – święto na szczycie – <i>Tomasz Śnieżek</i>	30
Ekologia na szlaku	
Ekologia	31
OTN Mosorny Groń czyli niewypał – <i>Juliusz Wystouch</i>	32
Poradnik turysty	
Radzić, nie radzić? – <i>Juliusz Wystouch</i>	34
Na kolekcjonerskim szlaku	
Konserwacja i przechowywanie znaczków metalowych	36
Recenzje, nowości	
Literatura na mapie Polski – <i>Krzysztof R. Mazurski</i>	38
Trzy opracowania znad Kaczawy – <i>Jerzy Bieńkowski</i>	39
Listy, opinie, dyskusje	
Letnie wspomnienia z Beskidu Żywieckiego – <i>Krzysztof R. Mazurski</i>	43

Na okładce: Na Hali Miziowej. Fot. Juliusz Wystouch.

X Spotkanie Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku” za nami...

X Spotkanie, jubileuszowe, odbyło się w dniach 19-21 września 2008 r. w Głuchołazach w Górach Opawskich. Bazą był Ośrodek Wczasowy „Czerwony Koziół” u stóp Parkowej Góry.

W ramach Redakcji uczestniczyli w nim Krzysztof R. Mazurski, Andrzej Rumiński, Piotr Dacko z Wrocławia oraz Juliusz Wystouch z Torunia. Czytelników reprezentowali: Mirka z Olsztyna, Iza, Włodek i Zygmunt z Opola, Iwona, Renia i Przemek Dacko (najmłodszy, 12-letni uczestnik) z Wrocławia. „Uczestniczył” też (część z uczestników nawet go nie widziała) Jacek z Opola, który wychodził w trasę wcześniej rano przed śniadaniem i wracał późnym wieczorem.

Najwcześniej zjawiała się w Głuchołazach Mirka, która zdążyła do południa zaliczyć najwyższy szczyt Gór Opawskich – Biskupią Kopę (890 m). Naczelnym z Sekretarzem w towarzystwie Izy zdobyli wczesnym popołudniem Górę Zamkową (571 m) w masywie Biskupiej Kopy. Piszący te słowa wraz z Przemkiem, Julkiem i Mirką (zdążyła wrócić z Biskupiej Kopy) udali się na okružny „Szlak Złoty Górników”, na którym można było zobaczyć sporo relikwów dawnego górnictwa złota z XIII-XVI w. Najwyższym punktem tego szlaku był szczyt Przedniej Kopy (495 m) z wieżą widokową, ruinami schroniska i kaplicą św. Anny zbudowaną nad dziesięciometrowymi Wiszącymi Skałami.



Dyskusja po referacie. Fot. Piotr Dacko

Przed kolacją rozpoczęła się część oficjalna. Głównym punktem programu był bogato ilustrowany wykład na temat przyrody Parku Krajobrazowego Gór Opawskich wygłoszony przez Małgorzatę Gębałę – pracownicę Zarządu Opolskich Parków Krajobrazowych, którą wspomagała Elżbieta Pigulska.

Mogliśmy też zobaczyć walory przyrodnicze pozostałych dwóch parków krajobrazowych na Opolszczyźnie. Po tej uczcie duchowej udaliśmy się na smaczną obiadokolację, po której prowadziliśmy rozmowy towarzyskie do późnego wieczora.

Niestety, następny dzień, sobota, powitał nas deszczową pogodą. Jednak uczestników to nie zraziło i wszyscy udali się w teren. Mając do dyspozycji dwa samochody rozjechaliśmy się w przeciwne strony.

Grupa „Naczelnego” pojechała do Złatych Hor na ścieżkę dydaktyczną prowadzącą przez ruiny średniowiecznego zamku Edelštejn do sanktuarium Panny Marii Pomocnej znajdującego się na zboczach Příčného vrchu (975 m – najwyższy szczyt Zlatohorské vrchoviny) i dalej z powrotem wzdłuż drogi krzyżowej do Złatych Hor. Niestety, z powodu złej pogody zmylili w pewnym momencie drogę i weszli na inną ścieżkę dydaktyczną. Zanim wrócili ponownie na swój szlak, zrobili dodatkowo kilka kilometrów, oglądając za to po drodze niezwykle interesujące relikwty po dawnym górnictwie złota, w tym głębokie wyrobiska.

Autor z Przemkiem oraz Julek z Mirką udali się w Jesioniki i Rychlebskie hory. Zajechaliśmy do Lipovej Lazně, gdzie rozłączyliśmy się. Wraz z synem zwiedziliśmy zaraz największą i najładniejszą jaskinię w Czechach (największe i najładniejsze jaskinie w Republice Czeskiej znajdują się na Morawach w Morawskim Krasie) „Na Pomezi”. Po obejrzeniu pięknej, bogatej i różnorodnej szaty naciekowej udaliśmy się do Jesenika. Niestety, siąpiący i lejący na zmianę



**W jaskini „Na Pomezi”.
Fot. Piotr Dacko**



**W drodze na Šerak.
Fot. Mirosława Woźniak**

deszcz skutecznie zniechęcał do dalszej wędrówki, więc po krótkim zwiedzeniu miasta udaliśmy się z powrotem do ośrodka. Po południu, gdy przestało wreszcie na trochę padać, zwiedziliśmy część zdrojową Głuchołaz.

Julek z Mirką udali się na leżący na północnym krańcu masywu Wysokiego Jesionika szczyt Šerak (1351 m), gdzie już kiedyś odbyło się jedno ze Spotkań. W planach mieli zdobycie leżącego nieco dalej na południe Keprnika (1423 m), jednakże plany pokrzyżowała im paskudna pogoda i leżący już sporą warstwą śnieg! Dlatego po posileniu się w schronisku na Šeraku szybko udali się, brodząc w mokrym śniegu i moczni deszczem, do Jesenika, skąd pociągiem podje-

chali do granicznych Mikulovic i ostatnie 2,5 km do ośrodka przebyli pieszo.

Co widział, gdzie wędrował tajemniczy uczestnik – nie wiemy, bo mimo oficjalnego zgłoszenia się na Spotkanie faktycznie korzystał tylko z noclegów i nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu.

Po kolacji odbyło się w jadalni drugie oficjalne spotkanie. W pierwszej części nasz sympatyczny i bardzo życzliwy gospodarz Marek Duda, właściciel „Czerwonego Kozła”, prowadzący we Wrocławiu biuro turystyczne „AT-U”, opowiedział nam historię budynków i dzieje ich odbudowy.

Potem było spotkanie z Redakcją. Przedstawiliśmy historię magazynu, cykl wydawniczy i sprawy organizacyjne. Były pytania i dyskusje, oczekiwania i życzenia. Niestety, nie mogliśmy zagwarantować czytelnikom powrotu do „formy papierowej”, czego wszyscy chcieli. Na koniec Naczelną wręczył uczestnikom prezenty w formie napisanych przez siebie książek, a ufundowanych przez Oddział Wrocławski PTTK – wydawcę ma-



Spotkanie z właścicielem „Czerwonego Kozła” Markiem Dudą (po lewej). Fot. Andrzej Rumiński



gazynu. Spotkanie zakończyło się obietnicą kontynuacji i organizowania w przyszłości tego typu imprez. Na inne imprezy pod szyldem „Na Szlaku” zapraszał także Julek Wysłouch.

W niedzielę z powodu złej pogody i dalekiej drogi do domu zaraz po śniadaniu uczestnicy rozjechali się. Zmotoryzowani po drodze zahaczyli jeszcze o Nysę w celu zwiedzenia udostępnianych fortyfikacji miejskich.

W przyszłym roku być może spotkamy się w okolicach Olsztyna.

**Uczestnicy X Spotkania.
Fot. Mirosława Woźniak**

IX SPOTKANIE ŚLADOWE CZYTELNIKÓW „NA SZLAKU”

Zgodnie z kalendarzem imprez KTN ZG PTTK i ustaleniami organizatorów IX Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków „Na szlaku” odbędzie się w dniach 5-8 lutego 2009 roku w schronisku PTTK „Pod Muflonem” nad Dusznikami-Zdrojem. Szczegóły podamy w kolejnym komunikacie.

Krzysztof R. Mazurski

KACZAWSKIE PODGÓRKI

Tu nie chodzi o jakieś formy terenowe w Górach Kaczawskich, ale o wieś Podgóрки, która leży w dolince górnego biegu Świerzawy, wciśnięta między grzbiety południowy i północny. Swoiste oddalenie – choć powyżej przebiega dość ruchliwa szosa Jelenia Góra – Złotoryja – Legnica, sprawiła, iż jest ona mało znana. A szkoda, bo nie tylko ładne położenie, ale i sporo ciekawostek krajoznawczych. Wspomniana w 1305 r., przez kilkaset lat – aż do 1871 r. wieś należała do znanego śląskiego rodu von Zedlitzów. Wtedy nabył ją hrabia von Harlach, który gruntownie przebudował pałac do oryginalnej formy. W latach 90. minionego stulecia nabył go prywatny właściciel, wyremontował, ale też ograniczył doń dostęp.



Ruiny kościoła adaptowane dla celów turystycznych.

Zaawansowanych krajoznawców przyciągała natomiast ruina kościoła z renesansowymi płytami nagrobnymi, coraz bardziej niszcząca i zarastająca drzewami. W końcu i dla niej przyszedł lepszy czas. Sam kościół powstał z kamienia na rzucie prostokąta o wymiarach 11,7x9,5 m, przy czym wejście znajdowało się w ścianie południowej – od drogi. Wzmiankowany go w 1399 r. W 1506 r. dokonano jego przedłużenia, wydzielono prezbiterium i wzniesiono wieżę, do której wchodziło przez drewnianą empore na ścianie zachodniej. Nieco później, zapewne dzięki Zedlitzom, prace kontynuowano, m.in. urządzono pod prezbiterium dwie krypty grobowe przykryte płytami. W 1703 r. powstała kaplica z dużym grobowcem, połączona przejściem z kościołem. Całość uzyskała rozmiary 26,2x9,3 m, zaś wieża 6,4x6,75 m. Niestety, świątynia spłonęła w 1 poł. XIX w., a mury jej zostały znacznie rozebrane na materiał budowlany. Wreszcie Urząd Miasta i Gminy Świerzawa pozyskał środki unijne w ramach „Sektorowego Programu Operacyjnego *Restrukturyzacja i Modernizacja Sektora Żywnościowego oraz Rozwój Obszarów Wiejskich*” i na podstawie bardzo udanego projektu do grudnia 2006 r. odrestaurowała ruinę. Zabezpieczono mury, uporządkowano teren, urządzono wewnątrz – w przyziemiu wieży umieszczono płyty nagrobne von Zedlitzów z 1610 i 1616 r., a przede



Dawny ewangelicki Dom Modlitw.



wszystkim przystosowano wieżę na punkt widokowy – zaiste, świetny! To znakomita atrakcja Podgórek i koniecznie warto ją poznać. Klucze do obiektu znajdują się w budynku nr 33 poniżej. Komu mało, może jeszcze obejrzeć charakterystyczny dawny kościół ewangelicki w typie tzw. Domów Modlitwy z 1746 lub 1752 r., po 1945 r. przejęty przez Kościół katolicki. Wybudowano go tuż powyżej opisanego obiektu. Obok niego – obok w 1819 r. postawiono dzwonnice.

Trznadłowa Przełęcz.

Z Podgórek można urządzić liczne warianty wycieczkowe po Górach Kaczawskich. Szczególnie interesujący jest ich Grzbiet Południowy, usiany rozlicznymi skałkami o fantazyjnych kształtach, zwłaszcza w rejonie Maślaka (720 m) – grzbieciku o dość skomplikowanej konfiguracji. Pod nim kilkanaście lat temu zlokalizowane Okopy – tajemnicze *Szwedzkie Szańce*? Niezbyt wysoko nad wsią znajduje się nieduża, ale intrygująca Jaskinia Walońska. Cisza i spokój, piękna przyroda – wszystko, co potrzeba dla pełnego relaksu.



Skalka Rumak koło Piwnicznej.



Zamek Kliczków

Zamek Kliczków to neorenesansowa rezydencja zlokalizowana na terenie zespołu pałacowo-parkowego w Kliczkowie, 12 km od Bolesławca, w pobliżu głównych międzynarodowych tras (Wrocław-Berlin, Wrocław-Drezno, Szczecin-Praga).

Zamek w Kliczkowie wznosił w latach 1292-1297 książę Bolko I Surowy. Po wygaśnięciu rodu Piastów świdnickich zamek przeszedł na własność króla czeskiego. W połowie XVI wieku możny ród śląski Rechenbergów dokonał gruntownej przebudowy zamku, przekształcając warownię w renesansowy dwór. Jego najbardziej reprezentacyjną część przetrwała do dziś. Zamek w czasie bezpośrednich działań wojennych ucierpiał niewiele, natomiast po ich zakończeniu, na skutek grabieży, pożaru i braku należytego zabezpieczenia, ulegał stopniowemu zniszczeniu. W roku 2001 obiekt został gruntownie odrestaurowany przez firmę INTEGER S.A. i adaptowany na Centrum Konferencyjno-Wypoczynkowe.



www.kliczkow.com.pl

TRAMWAJEM PRZEZ GÓRNY ŚLĄSK

Górny Śląsk to silnie zurbanizowany i zindustrializowany obszar położony w południowej Polsce. Jego dynamiczny rozwój rozpoczął się na przełomie XVIII i XIX w. wraz z coraz intensywniejszym wydobyciem węgla w miejscowych kopalniach oraz produkcją stali w hutach. Proces ten został spotęgowany w połowie XIX w. po doprowadzeniu linii kolejowej z Wrocławia, Warszawy, Krakowa i Wiednia. Rozrastały się stare, piastowskie miasta (Bytom, Gliwice) i powstawały nowe (Zabrze, Katowice), jak grzyby po deszczu wyrastały w śląskim pejzażu zakłady przemysłowe, osiedla robotnicze, stacje kolejowe.

Wraz z coraz silniejszym procesem urbanizacji i industrializacji pojawiła się potrzeba sprawnego przewozu ludzi z miejsca zamieszkania do miejsca pracy oraz wraz z rozwojem troski o robotnika – do szkół, na wypoczynek czy zakupy. W drugiej połowie XIX w. w miastach Europy Zachodniej dla celów transportu miejskiego zaczęto wykorzystywać komunikację szynową; początkowo były to wozy ciągnięte przez konie, a od 1881 r. pociągi elektryczne (pierwszy w Berlinie). Idea powstania linii tramwajowej, łączącej najważniejsze miasta Górnego Śląska powstała w 1891 r., a w 1894 r. pierwszy tramwaj o napędzie parowym przemierzył wąskotorową trasę (785 mm): Piekary Śląskie - Szarlej - Bytom - Łagiewniki - Królewska Huta - Lipiny - Chebzie - Zabrze – Gliwice, długości 34,5 km. W 1898 r. zelektryfikowano pierwszy odcinek śląskich tramwajów w Katowicach, natomiast pod koniec pierwszej dekady XX w. rozpoczęto proces przekuwania toru z wąskiego na szeroki. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości tramwaj dotarł do Zagłębia Dąbrowskiego.

Tramwaje na Górnym Śląsku okres swojej świetności mają już daleko za sobą: błędne decyzje, niedoinwestowanie, likwidacja wielu odcinków sieci, przestarzały tabor powodują, że są one swoistym ruchomym skansenem. Skansen ten jednak na stałe wpisał się w historię Górnego Śląska będąc częścią jego niesamowitego klimatu, przebiegając przez krainę wielkich kontrastów i dalej służąc wiernie ludziom dojeżdżającym do pracy czy szkół. Są one atrakcją same w sobie, ponadto pozwalają zobaczyć to, co na Górnym Śląsku najpiękniejsze i najciekawsze.

Wycieczkę tramwajem po Górnym Śląsku najlepiej rozpocząć w Gliwicach na przystanku znajdującym się na wprost głównego dworca kolejowego. Najlepiej zaopatrzyć się w bilet sieciowy ważny na cały dzień. Wsiąść należy do tramwaju linii nr 1 lub 4 udającego się w kierunku Zabrze. Będzie to dość niecodzienny dla mieszkańców miast wóz, gdyż większość wagonów 105 N obsługujące tę trasę posiadają drzwi po obu stronach burt w celu obsługi linii jednotorowych. Najlepiej jest stanąć na samym tyle wagonu, tak aby móc widzieć interesujące obiekty po obu stronach pojazdu. Pierwszym ciekawym miejscem jest ul. Jagiellońska, gdzie tramwaj przemyka pomiędzy fabrycznym murem zlikwidowanej huty „Gliwice” z lewej strony, a zdewastowaną stacją dawnych Górnośląskich Kolei Wąskotorowych „Gliwice Śródmieście”. W tym miejscu można wsiąść i przejść się wymienioną ulicą wzdłuż trasy tramwajowej mijając dalej kamienice czynszowe z przełomu XIX i XX w. Wspomniana huta została zlikwidowana w końcu XX w. i obecnie teren po zakładzie jest już praktycznie wyczyszczony z budynków. Ceglany mur oddzielający dawny zakład od ul. Jagiellońskiej i Zabrskiej jest więc jedną z nielicznych pamiątek po nim. Dalej, poruszając się zgodnie z trasą tramwaju, wchodzi się na wiadukt o długości ponad 100 m nad torami kolejowymi. Warto w połowie jego długości zatrzymać się i spojrzeć (stojąc na zachodnim chodniku) na zachód – rozpościera się wspaniały widok na rozległą stację kolejową Gliwice oraz pozostałości huty, w tym żelbetową wieżę ciśnień. Po przejściu na prawy chodnik ujrzymy wschodnią część stacji z nastawniami, górkami rozrządowymi, lokomotywnią pamiętającą jeszcze czasy kajzerowskie. Nieco dalej z prawej znajdują się Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego. Również rozległy i godny uwagi zespół obiektów przemysłowych, przed którymi znajduje się płatanina szyn, na których stoją wagony. Po pokonaniu wiaduktu udajemy się na

przystanek tramwajowy i wsiadamy do 1 lub 4 udającej się w kierunku Zabrze. Tramwaj porusza się wydzielonym torowiskiem – początkowo 2-, a potem 1-torowym. Najpierw mija nieco wielkomiejskiej zabudowy czynszowej oraz blokowej, by potem przenieść się na peryferie miasta z ekstensywną zabudową wielorodzinną, wciąż kursując wydzielonym torowiskiem z prawej strony jezdni. W pewnym momencie wspina się on na wiadukt, którym przeskakuje nad dawno nieużywanym torowiskiem do zakładów przemysłowych. W tym momencie ciekawe klimaty panują, jeżeli spojrzeć przez okna na prawej burcie, gdyż można zaobserwować biegnącą równoległe do toru tramwajowego bocznice kolejowe, a w dalszej kolejności zajezdnię tramwajową.

Tramwaj wjeżdża na teren Zabrze – najpierw poruszając się wśród zabudowy niskiej, by potem zanurzyć się pośród wielkomiejską zabudowę czynszową z przełomu XIX i XX w. W tym miejscu najlepiej opuścić pojazd i udać się ul. Wolności (naturalnie wzdłuż torowiska) na wschód i jednocześnie podziwiać wspaniałe kamienice posadowione po obu stronach ulicy. W pewnym momencie samochody znikają, a droga staje się deptakiem tylko dla pieszych, tak więc podziwianie architektury staje się o niebo przyjemniejsze. Budynki umiejscowione wzdłuż ul. Wolności to reprezentacyjne domy czynszowe, najczęściej o 4. i 5. kondygnacjach, choć niestety czasem zdarzy się koszmarny blok psujący efekt XIX-wiecznej pierzei. Tak wędrując docieramy do zabrzańskiego rynku zwanego oficjalnie pl. Wolności (reprezentacyjny punkt miasta z deptakiem i skrzyżowaniem linii tramwajowych biegnących z północy, zachodu i wschodu). Udając się na północ jeszcze w końcu lat 90. natrafilibyśmy na potężną hutę Donnesmarcków, niegdysiejszą chlubę miasta Zabrze.

Niestety, zakład ten, podobnie jak gliwicki, nie oparł się zawirowaniom ustrojowym i dziś na jego miejscu stoi paskudny, blaszany hipermarket. Jednak obok niego zachowano na pamiątkę młot parowy, pięknie odrestaurowany. W środku marketu można pooglądać wiele zdjęć przedstawiających hutę w czasach przedwojennych. Stąd należy udać się na południe w kierunku ul. Bytomskiej. Na przeciwko dawnej dyrekcji huty (jeden z nielicznych obiektów, jaki oparł się dziełu zniszczenia) znajduje się interesujący nas przystanek tramwajowy. Po zobaczeniu z każdej strony dawnego biurowca wsiadamy do tramwaju linii 5 i udajemy się w kierunku zabrzańskiej dzielnicy Biskupice.

Tramwaj mknie pośród terenów zielonych dwupasmową szosą, by po kilku kilometrach jazdy znów zagłębić się pośród zabudowy charakterystycznej dla terenów górnośląskich osiedli przemysłowych; bo trzeba wiedzieć, że na Górnym Śląsku, mimo przynależności do jednego miasta, dzielnice żyją własnym życiem, które kręciło się dawniej głównie wokół największego w okolicy zakładu przemysłowego i kościoła. Elementem spajającym osiedla w jedność był właśnie tramwaj i klub sportowy – w Biskupicach oczywiście Górnik Zabrze. Wagon wspina się pod nieliczne wzniesienie, po czym przejeżdża pod wiaduktem przemysłowej linii kolejowej. Wsiadamy na pierwszym przystanku za wiaduktem i udajemy się na południe na Osiedle Borsiga. Powstałe w latach 60. XIX w. jest jednym z najciekawszych osiedli patronackich (wznoszonych dla pracowników zakładów przemysłowych – kombinatu górniczno-hutniczego Borsigwerk). Osiedlowe ulice zbudowane są równoległe do siebie i zabudowane podobnymi do siebie domami 2- i 3-kondygnacyjnymi w konwencji familoku, usytuowane obrzeżnie do ulic. Z drugiej strony ul. Bytomskiej, przeciwnej do „Borsigowa”, znajdują się budynki zarządu dawnego Borsigwerku pochodzące z 1855 r. Udajemy się tam ul. Zamkową wysadzaną prawie stuletnimi kasztanowcami. Po obejrzeniu Zamku, bo tak jest ten obiekt nazywany, powracamy do ul. Bytomskiej i udajemy się na wschód wzdłuż torowiska tramwajowego. Po kilkuset metrach skręcamy w lewo, w ul. Ziemską i nagle znajdujemy się pomiędzy XIX-wieczną zabudową fabryczną koksowni i dawnej kopalni „Jadwiga”. Niesamowite wrażenia można doznać w zimową noc, kiedy to od baterii koksowniczych i tzw. „świeczki” bije żywy ogień, tak że mimo pory odczuwamy gorąco i jasność bijącą z koksowniczych urządzeń. Tuż za przejściem pod torami kolejowymi do zakładu, po lewej stronie, znajduje się budynek biurowy zakładów. Niestety, mimo że jeszcze kilkanaście lat temu piękny klinkierowy budynek był wykorzystywany, obecnie na skutek niewłaściwego zarządzania mieniem chyli się ku upadkowi bardziej przypominając ruinę niż biurowiec. Wracamy ul. Zamkową i do ul. Bytomskiej i skręcamy w prawo. Udajemy się do pętli tramwajowej i wsiadamy w tramwaj nr 5 w kierunku Bytomia. Wyjeżdża on z obszaru miejskiego i nasypem udajemy się na wschód pomiędzy terenami pól i zadrzewień. Po około kilometrze linia z Zabrze łączy się z linią z Rudy Śląskiej i wspólnie wjeżdżają na teren bytomskiego osiedla Bobrek.

Cdn.

DUSZNIKI-ZDRÓJ ROZWIJAJĄ TURYSTYKĘ

Jedno z najstarszych i najbardziej znanych sudeckich uzdrowisk i jego czeski partner – Nove Mesto nad Metuji, łączą siły dla lepszego zaistnienia na rynku turystycznym i przyciągnięcia jeszcze większej liczby przyjezdnych. We wspólnym programie znajdują się następujące działania: ochrona i odnowa bogactwa kulturowego i przyrodniczego, tradycji rzemieślniczych, ochrona i odbudowa zabytków, w tym budowli sakralnych, historycznych zespołów urbanistycznych i technicznych, obiektów kulturalnych, cech krajobrazu kulturowego, rozwój: szlaków i ścieżek rowerowych, ścieżek i szlaków turystycznych i narciarskich, turystycznej infrastruktury towarzyszącej oraz poprawa wyposażenia rekreacyjno-edukacyjnego. Są to fundamentalne zadania wspierania rozwoju turystyki i narciarstwa, turystycznej infrastruktury towarzyszącej oraz poprawa wyposażenia rekreacyjno-edukacyjnego. Zrealizowano już kilka przedsięwzięć, które na stałe wpisały się w krajobraz działalności transgranicznej obu partnerów.

Projekt „Góry Orlickie bez barier”

Duszniki-Zdrój w ramach realizacji wymienionego projektu wspólnie z miastem partnerskim opracowało mapy panoramiczne „Góry Orlickie bez granic”. Projekt został sfinansowany z funduszy

unijnych. Głównym celem tego nowatorskiego w skali regionu projektu jest ukazanie przybywającym turystom oraz miejscowej społeczności przygranicznych terenów jako miejsc niezwykle atrakcyjnych nie tylko zimą, ale także przez pozostałą część roku. Dzięki umieszczeniu na tablicach odpowiednich oznaczeń w postaci piktogramów mapa ma służyć możliwie najszerszemu kręgu odbiorców, skutecznie łamiąc bariery językowe, gdyż użyto międzynarodowych symboli do oznaczenia miejsc ciekawych, interesujących oraz unikatowych w skali całej Europy. Mapy zostaną umieszczone w wyznaczonych



Na szczycie Gór Orlickich – Velka Deština (1115 m)

Fot. Krzysztof R. Mazurski

miejscach, w których turyści szukają informacji oraz nowych propozycji zagospodarowania własnego wolnego czasu. Mapy zostaną również umieszczone po stronie czeskiej w Nowym Mieście nad Metuji i na terenie Dobrowolnego Związku Gmin Nowomiejskich. Dzięki komplementarności projektu polskiego z podobnym projektem czeskim powstał zestaw map, które pomogą turystom odwiedzić rejon Dusznik-Zdroju oraz rejon Nowego Miasta n. Metują w sposób zaplanowany oraz poznać ich dotychczas słabo rozreklamowane miejsca zlokalizowane po obu stronach w Górach Orlickich. Równocześnie z dużymi mapami panoramicznymi w formacie AO mapy zostały wydane również w formacie A4 i A5, co umożliwi ich dystrybucję na targach turystycznych, w punktach informacji tury-

stycznej oraz innych miejscach, gdzie promują się obie miejscowości. Odwiedzającym je turystom, uczniom, sportowcom, seniorom oraz rowerzystom panele z mapami panoramicznymi dadzą szansę zapoznać się z bliską i dalszą okolicą obu miast partnerskich. Panoramiczny charakter tych map umożliwi im lepszą orientację oraz uzyskanie przeglądu o podziale, a także atrakcjach turystycznych całej okolicy.

Dalej będzie to wiodło do zacieśnienia kontaktów nieformalnych pomiędzy instytucjami oraz pojedynczymi ludźmi. W końcowym etapie wzmocni to współpracę na różnych poziomach na terenie całego pogranicza. Projekt swoimi rezultatami w sposób bardzo efektywny, a jednocześnie nietradycyjny wpływa na rozwój ruchu turystycznego, likwidację istniejących wielorakich barier, pogłębianiu przygranicznej współpracy we wszystkich grupach wiekowych i grupach o różnorodnych zainteresowaniach. Jest on więc w ten sposób zbieżny z narodową, jak i regionalną polską-czeską strategią priorytetami w euroregionie.

Sedivackuv Long - wyścig psich zaprzęgów

To impreza polsko-czeska, organizowana od 2006 r. w ramach programu INTERREG IIIA Deštné v Orlickích Horách. Projekt miał na celu nawiązanie współpracy z miastami partnerskimi Dusznik-Zdroju po stronie czeskiej. Sport psich zaprzęgów jest opozycją dla narciarstwa biegowego i zjazdowego. Obydwie edycje wyścigu odbyły się w trzecim tygodniu stycznia 2006 i 2007 r. Jest to już stały termin dla wyścigów po stronie czeskiej. W 2006 r. wyścig udał się znakomicie i nic już nie stało na przeszkodzie, aby zorganizować go w kolejnych latach.

Biesiada Europejska

To z kolei wspólne przedsięwzięcie w dziedzinie rozwoju regionalnego pogranicza orlicko-kłodzkiego w oparciu o wspólne działania na rzecz rozwoju kultury i turystyki. Mikroprojekt został zrealizowany w ramach promocji uczestniczących w nich miast partnerskich Dusznik-Zdroju oraz Nove Mesto n. Metuji.

Budowa i modernizacja tras biegowych na Jamrozowej Polanie - etap II

Bezpośrednim efektem realizacji projektu było zmodernizowanie (położenie nawierzchni asfaltowej) tras biegowych na Jamrozowej Polanie, które przyciągną szerokie rzesze amatorów biegów narciarskich. Dodatkowo nowowytbudowany pawilon obsługi technicznej oraz zakupiony system naśnieżania umożliwi i zdecydowanie ułatwia utrzymanie tras biegowych w odpowiednim stanie technicznym, a tym samym korzystanie z tras przez większą część roku. Działania te przyczyniają się do wzrostu liczby polskich i zagranicznych turystów odwiedzających region, a tym samym do zwiększenia dochodów gminy oraz wzrostu zatrudnienia jej mieszkańców w sektorze usług turystycznych.

**Zabytkowa papirnia
w Dusznikach Zdroju
Fot. Piotr Dacko**



Joanna Jęczalik

Turystyczna gmina

LUTOWISKA

Gmina Lutowiska leży w najbardziej wysuniętej na południowschód części kraju, w woj. podkarpackim, w pow. bieszczadzkim. Około 50% jej granic to granice państwa z Ukrainą i Słowacją. Jest to jedna z największych obszarowo gmin w Polsce (476 km²), przy jednocześnie najniższej gęstości zaludnienia (4,5 osoby/km²). Zamieszkuje tu jedynie 2344 osób. Lutowiska są miejscowością położoną przy dużej obwodnicy bieszczadzkiej, na wysokości 630 m n.p.m., z pięknymi widokami na panoramę Wysokich Bieszczadów. Obszar gminy obejmuje partie Bieszczadów najatrakcyjniejsze pod względem przyrodniczym i turystycznym. Znajdują się tu wszystkie formy ochrony: Bieszczadzki Park Narodowy, Park Krajobrazowy Doliny Sanu, obszar chronionego krajobrazu z licznymi rezerwatami i pomnikami przyrody. Jest to również część Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery „Karpaty Wschodnie”.

Pierwsze wzmianki o **Lutowiskach** z 1580 r. informują o istnieniu wsi założonej na prawie wołoskim przez rodzinę Stadnickich. Lokalizacja była bardzo dogodna, ponieważ przecinały się w tym miejscu szlaki handlowe. Pierwszy biegł z kierunku Sanoka na wschód, drugi z Przemyśla na południe. Najazdy obcych wojsk, głód i epidemie w XVII w. spowodowały częściowe wyludnienie terenu. Natomiast XVIII w. był okresem ponownego zasiedlania opuszczonych wsi, ożywienia gospodarczego oraz kształtowania się trwałej struktury narodowej i religijnej ludności, składającej się z polskiej szlachty, grekokatolickich Rusinów oraz Żydów. Dzięki staraniom właściciela Lutowisk – Ludwika Urbańskiego, w XVIII w. wieś ta uzyskała prawa miejskie. W końcu XIX w. targi tu były znane w Europie Środkowej. Sprzedawano głównie bydło. Jarmarki odbywały się dziesięć razy w roku i trwały trzy dni. W 1919 r. Lutowiska utraciły prawa miejskie, ale były nadal handlowym centrum regionu.

Od 1939 r. San stał się granicą, dzielącą tereny obecnej gminy na obszary okupowane przez wojska niemieckie i radzieckie. W lewobrzeżnej części Niemcy rozpoczęli represje wobec ludności żydowskiej zakończone całkowitą jej eksterminacją. Po koncentracji w tym rejonie sił UPA w 1941 r. nasilił się terror wobec ludności polskiej, którego nie przerwało wkroczenie we wrześniu 1944 r. wojsk radzieckich, a w walkach zniszczeniu uległy liczne wsie. Biegnąca Sanem nowa granica pomiędzy Polską a ZSRR ponownie podzieliła teren obecnej gminy. W strefie radzieckiej rozpoczęła się przymusowa kolektywizacja wsi i wprowadzanie prawosławia, oporni wysiedlani byli na Syberię, a miejscowość Lutowiska przemianowano na Szewczenkowo. Po stronie polskiej górskie tereny aż do Cisnej kontrolowane były przez oddziały UPA. Już w 1944 r. w ramach „repatriacji” rozpoczęły się wysiedlenia ludności ukraińskiej do ZSRR (od 1946 r. przymusowe). W ramach akcji „Wisła” w 1947 r. nastąpiła kolejna faza wysiedleń, która doprowadziła do całkowitego wyludnienia terenu. Cała zabudowa została zniszczona, rozległe tereny dawnych wsi ponownie objęła we władanie przyroda. Po tzw. „wyrównywaniu granic” w 1951 r. Lutowiska powróciły do Polski, a na teren gminy przybyli wysiedleni mieszkańcy Sokalszczyzny i Hrubieszowszczyzny. Rozpoczęło się ponowne zasiedlanie Bieszczadów, ale z 28 istniejących tu przed wojną wsi 22 jest obecnie zamieszkałych.

Unikatowość występującego tu świata roślinnego i zwierzęcego spowodowała utworzenie na terenie gminy parków: Bieszczadzkiego Parku Narodowego i Parku Krajobrazowego Doliny Sanu, które wchodzą w skład międzynarodowego rezerwatu biosfery „Karpaty Wschodnie”.

Bieszczadzki Park Narodowy chroni fragmenty wschodniokarpackiej przyrody w polskiej części Bieszczadów Zachodnich. Utworzony w 1973 r., po kilkukrotnych powiększeniach uzyskał powierzchnię ponad 29 tys. ha, przez co jest największym górskim parkiem narodowym w Polsce, a trzecim co do wielkości w kraju. Teren ten wyróżnia się specyficznym układem pięter roślinnych. Brak tu zarówno piętra górnoreglowych lasów świerkowych, jak również kosodrzewiny. Wyróżniono tu trzy piętra roślinno-klimatyczne: pogórze (do około 500 m n.p.m.), regiel dolny (do około 1150 m n.p.m.) oraz piętro połonin. Najwyższym szczytem polskiej części Bieszczadów jest Tarnica (1346 m n.p.m.). Największe powierzchnie zajmują lasy. Najczęściej są to rozległe kompleksy naturalnych drzewostanów bukowych i bukowo-jodłowych z udziałem jawora i świerka. Ponadto w miejscach bardziej niedostępnych do naszych czasów przetrwało kilka fragmentów leśnych o charakterze pierwotnym.

Z uwagi na położenie geograficzne w Bieszczadzkim Parku Narodowym występują zarówno zachodnio-, jak i wschodniokarpackie zbiorowiska roślinne i gatunki, w tym wiele chronionych i zagrożonych. Charakterystyczne dla Bieszczadów połoniny są miejscem występowania wielu rzadkich gatunków roślin wschodniokarpackich i wysokogórskich. Na skalistych wychodniach i półkach skalnych rosną cenne gatunki alpejskie, m.in. rojnik górski i skalnica gronkowa. Niezwykle bogaty jest świat zwierzęcy na tym terenie. Bytują tu duże ssaki: jeleń szlachetny, łoś, żubr, dzik, ryś, borsuk, wydra, oraz duże drapieżne ptaki: orzeł przedni, orlik grubodziobaty, orlik krzykliwy, puchacz, puszczyk uralski oraz co jest bardzo istotne niedźwiedź brunatny oraz wilki.

W polskich Karpatach żyje dziś ponad osiemdziesiąt niedźwiedzi, a bieszczadzka populacja, najliczniejsza w Polsce, przekroczyła liczbę pięćdziesięciu sztuk żyjących na niewielkim stosunkowo obszarze. Misie bieszczadzkie są rosłe i potężne. Ważą ok. 450 kg i osiągają wzrost do 2,5 m. Wilk jest rzadkością w naszych lasach. W całej Polsce zostało ich około 500. Dla miłośników natury są one symbolem ginącej dzikiej przyrody. Żerują niemal wyłącznie w lasach, a rzadko atakują zwierzęta domowe. W rozległych kompleksach leśnych Bieszczadów przyroda – wskutek powojennych deportacji dawnych mieszkańców tych gór i ogromnego wyludnienia, stworzyła im doskonale warunki do rozwoju. Leśnicy oceniają, iż w całych Bieszczadach żyje dziś około 40-60 wilków.

Drugim parkiem istniejącym na terenie gminy Lutowiska jest **Park Krajobrazowy Doliny Sanu** o powierzchni prawie 35 tys. ha, chroniący malowniczą dolinę Sanu od źródeł po Jez. Solińskie. Bogactwo przyrodnicze Parku wynika z dużej lesistości ok. 80%. Dominuje piętro regła dolnego z uwagi na to, iż większość terenu leży powyżej 500 m. n.p.m. Dolina górnego Sanu obfituje w torfowiska wysokie ulokowane na ponadzalewowych terasach tej rzeki. Jak sama nazwa wskazuje, osią Parku jest największa rzeka regionu – San. Jest to obszar wtórnie zdziczały, niegdyś licznie zamieszkały. O charakterze tego terenu stanowi również jego pewne oddalenie od głównych bieszczadzskich szlaków, jest on przez to mniej atrakcyjny turystycznie, a to powoduje słabszy napływ ludzi.

Na terenie gminy znajduje się całe bieszczadzkie pasmo połonin, ciągnące się pomiędzy doliną Sanu na północy a pasmem granicznym na południu. Tworzą je trzy grupy górskie – Połonina Wetlińska (1255 m) ze Smerekiem (1222 m), Połonina Caryńska (1297 m) oraz największa i najciekawsza grupa Tarnicy (1346 m) z Szerokim Wierchem (1315 m), Krzemieniem (1335 m), Bukowym Berdem (1313 m), Kopą Bukowską (1312 m), Haliczem (1333 m) i Połonią Bukowską (1251 m).

Połonina Wetlińska

Jest ona jednym z najbardziej znanych i najczęściej odwiedzanych bieszczadzskich miejsc. To doskonały punkt widokowy, widoczność do 150-200 km powoduje, iż widoczne są m.in. Tatry. Jest on drugim co do wielkości masywem połonin bieszczadzskich, ciągnie się na przestrzeni prawie 12 km. Najdalej wysunięta na zachód z całego bieszczadzkiego pasma połonin. Grzbiet ma kręty przebieg. Przeł. Orłowicza dzieli go na dwie części: mniejszą, zachodnią ze szczytem Smerek oraz większą, wschodnią, w której znajduje się najwyższy szczyt połoniny Roh (1255 m) oraz schr. PTTK zwane Chatka Puchatka – to najbardziej znane schronisko bieszczadzkie, ponieważ leży najwyżej. Masyw ogranicza od południa i zachodu dolina Wetlinki, a od wschodu dolina Prowczy i jej przedłużenia Pot. Nasiczański. Północne odnogi pasma sięgają doliny Sanu. Na południowschodzie, przez Przeł. nad Berehami Połonina Wetlińska łączy się z grzbietem Działu w paśmie granicznym. Wyższe partie Wetlińskiej obejmują typowe bieszczadzkie połoniny.

Połonina Caryńska

Z pewnością też zasługuje na uwagę znajdując się w bezpośrednim sąsiedztwie Wetlińskiej, nieco wyższa, ale najmniejsza z trzech połonin na terenie gminy. Jej grzbiet rozciąga się na długości przeszło 4 km i obejmuje cztery wierzchołki, z których trzy znajdują się na trasie szlaków turystycznych. Najbardziej wysunięty w kierunku Berehów Górnych szczyt 1245 m wznosi się poza szlakiem, co oznacza, iż jest dla turysty niedostępny. Połonina Caryńska wzięła swą nazwę najprawdopodobniej od słowa *caryna*, co oznacza z wołoskiego ziemię uprawną, bądź z rumuńskiego *car*, co można tłumaczyć jako miejsce leżące powyżej uprawianej ziemi (roli). Nazw z tym związanych mamy w bezpośrednim sąsiedztwie znacznie więcej: u północnych zboczy Połony Caryńskiej dawniej znajdowała się wieś o nazwie Caryńskie (do naszych czasów zachowały się ruiny cerkwi oraz przycerkiewny cmentarz. Także z północnych zboczy spływa potok Caryńczyk, który na terenie wspomnianej wsi wpada do potoku Caryński, natomiast nieco na zachód od tego miejsca znajduje się wzgórze o nazwie Caryńska (928 m).

Walory przyrodnicze gminy Lutowiska czynią ją bardzo atrakcyjną turystycznie. Jednakże jako regionem turystycznym zainteresowano się nią stosunkowo późno. Turyści górscy pojawili się tu dopiero w okresie międzywojennym. W tym czasie powstały pierwsze stacje turystyczne i wyznakowany został Górski Szlak Karpacki (1935 r.). Dziś na terenie gminy zetkniemy się z wszelkimi rodzajami turystyki. Dla turystów przygotowano m.in. 12 ścieżek dydaktycznych, historycznych i przyrodniczych, 116 km tras rowerowych, 1598 miejsc noclegowych (w tym 908 całorocznych różnego standardu), 1136 miejsc konsumpcyjnych w obiektach noclegowych, restauracjach i punktach małej gastronomii.

Walory turystyczne podnoszą oryginalne zabytki, a to kościół murowany w stylu neogotyckim z lat 1911-1914 w Lutowiskach, cerkwie w Smolniku, Chmielu, Dwerniku, ruiny cerkwi w Krywem, Berehach Górnych, zabytkowe cmentarze w Lutowiskach, Smolniku, Caryńskich, Dźwiniaczu Górnym, Beniowej, Bukowcu, Wołosatem, kirkut żydowski w Lutowiskach.

Istnieją tu też doskonałe warunki do uprawiania turystyki konnej. Tu konie kojarzą się szerokiej publiczności z hucułami. Słusznie o tyle, że są to konie rdzennie tych terenów i można je spotkać w licznych miejscach. Wiele gospodarstw agroturystycznych ma w swej ofercie naukę jazdy konnej dla początkujących, zaawansowanych, przejażdżki bryczką, a zimą kuligi. Organizowane są również jedno- lub kilkudniowe wycieczki konne, a także obozy jeździeckie. Na terenie gminy znajduje się wiele miejsc, gdzie można skorzystać z tej formy rekreacji. Jednym z takich miejsc jest stadnina BPN w Wołosatem. Prowadzi się tu zachowawcą hodowlę konia huculskiego. Hodowle tych koni znajdują się również w Chmielu, Drewniczku, Gutowiskach, Tarnawie Niżnej oraz Ustrzykach Górnych.

Oprócz wymienionych szlaków znajdują się tu również znakowane ścieżki dydaktyczne:

- „Śnieżycza Wiosenna”, Ustrzyki Górne - Szeroki Wierch. Kolor zielony. Prowadzi wzdłuż odcinka czerwonego szlaku z Ustrzyk Górnych na Tarnicę, nie wchodząc na sam szczyt. Czas przejścia około 3 godz.
- „Buk”, Ustrzyki Górne - Połonina Caryńska. Kolor zielony. Wzdłuż czerwonego szlaku Ustrzyki Górne - Berehy Górne (Brzegi Górne). Czas przejścia około 3-4 godz.
- „Salamandra”, Ustrzyki Górne - Wołosate. Kolor zielony. Biegnie doliną Wołosatki, m.in. torfowisko wysokie „Wołowate”. Czas przejścia 2,5 godz.
- przyrodniczo-historyczna „Orlik Krzykliwy”, Wołowate - Tarnica. Kolor zielony. Rozpoczyna bieg przy cmentarzu w Wołosatem (resztki cerkwi, kilka grobów). Czas przejścia około 3 godz.

Na terenie gminy Lutowiska znajdują się nadto trzy wyciągi narciarskie:

1. orczykowy w Ustrzykach Górnych, nieopodal budynku Nadleśnictwa. Należy do Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Stok niezbyt wymagający, raczej dla początkujących. Długość trasy 420 m, różnica wysokości 50 m, przepustowość 400 os/godz.
2. talerzykowy w Bukowcu, prywatny, w okolicach skrzyżowania do Terki. Piękny widok na Tołstę. Wyposażony w ratrak. Długość ok. 500 m, różnica wzniesień ok. 100 m. Raczej łatwy. Wypożyczalnia, wygodka, domowe obiady, mały bar, parking.
3. orczykowy w Drewniczku, u podnóża Trohańca (933 m), należy do pensjonatu „Rusinowa Polana”. Długość 500 m, różnica wysokości 80 m, przepustowość 650 osób/ godz. Świetny dla nauki jazdy, szczególnie dla dzieci i żon. Bardzo bezpieczny.

LIBERATOR W GORCACH

Przeoglądając stary przewodnik po Gorcach natrafiłem kiedyś na informację o katastrofie amerykańskiego samolotu bombowego, odnalazłem także to miejsce na mapie – zanosilo się na ciekawą historię... Za „Gazetą Krakowską” cofnijmy się o 64 lata do 1944 r.: „W słoneczne popołudnie 18 grudnia 1944 roku nad przyprószone śniegiem szczyty Gorców nadleciał z warkotem B-24 Liberator - amerykański bombowiec dalekiego zasięgu o imieniu własnym „California Rocket”, z dziesięcioosobową załogą na pokładzie. Samolot leciał w ogromnej formacji ponad 400 bombowców, które wczesnym rankiem wystartowały z baz położonych na nizinach Apulii we Włoszech. Ich celem były zakłady chemiczne IG-Farben w Oświęcimiu produkujące paliwo syntetyczne dla hitlerowskiej maszyny wojennej. Po drodze bombowce zostały zaatakowane przez zgrupowania artylerii przeciwlotniczej oraz eskadry myśliwców niemieckich, węgierskich i słowackich. Pomimo poważnych uszkodzeń załoga „California Rocket” kontynuowała lot nad Polskę. Por. pil. William Beinbrink, dowódca bombowca, wiedział, że uszkodzony samolot nie dotrze do celu. Ze zbiornika ciekłego oleju, kolejne silniki odmawiały posłuszeństwa. Decyzja była szybka: odbić na tereny zajęte przez Armię Czerwoną i ratować się przed katastrofą. Amerykanie szerokim łukiem ominęli zajęty przez Niemców Kraków i skierowali się na Gorce. W okolicach Łącka atak na samotnego Liberatora przypuścili trzy niemieckie myśliwce. Nie padł jednak ani jeden strzał. Okupanci albo nie mieli amunicji, albo ją oszczędzali widząc, że sekundy dzielą płonący samolot od roztrzaskania się na stokach gór. Zanim ciągnący za sobą ogon kłębiącego się dymu bombowiec zanurzył się z leśnej gęstwiny, kosząc prawie 2 hektary lasu,



„Liberator w Gorcach” Robert Panek, Krzysztof Wielgus

znikł z nieba, załoga zdążyła się uratować, wyskakując na spadochronach nad pasmem Lubania, Runka i Kiczory. Po chwili, w rejonie przełęczy Pańska Prechybka, ciszę rozdał głuchy huk. Ostatni z członków załogi wyskakując z samolotu widział, jak dowódca wraca do kokpitu. Do dziś pozostaje tajemnicą, dlaczego nie skoczył z innymi. Jeszcze tego samego dnia do Amerykanów dotarli partyzanci z IV Batalionu Nowy Targ 1 Pułku Strzelców Podhalańskich, stacjonującego na „Skalce”, w górach nad Ochotnicą i współpracujący z nimi mieszkańcy.”

Komu zawdzięczamy odkrycie tej tajemnicy? Otóż w 1983 r. Krzysztof Wielgus – wówczas młody adiunkt Politechniki, wraz z kolegą Stanisławem Bednarzem dotarli do miejsca katastrofy amerykańskiego bombowca B-24 Liberator. W swojej książce „Liberator w Gorcach” Krzysztof Wielgus tak to wspomina: „Zaczęło się od opowieści, zasłyszanych od turystów, przewodników i... grzybiarzy, chodzących po Gorcach. (...) Hasło: gdzieś tam w Gorcach leży samolot, pobudzało wyobraźnię; wydawało się,



Rysunek Liberatora pochodzi z tablicy na miejscu katastrofy

że gdzieś w dzikich leśnych ostępach, przerośnięty paprociami, czeka na swego odkrywcę tajemniczy wrak maszyny z drugiej wojny światowej”. Odkrywcy dotarli do mieszkańców

Jaszcze, m.in. Jana Misiarczyka, gdzie znaleźli dziesiątki części pochodzących z rozbitej maszyny i właśnie 18.09.1983 r. w strugach deszczu, po kilku godzinach poszukiwań znaleźli kolejne szczątki samolotu, a następnie kadłub i miejsce katastrofy. Wrak leżał potoku Jaszcze w rezerwacie ścisłym Gorczańskiego Parku Narodowego w odległości około 2 km od ostatnich zabudowań. Dowódca samolotu został w kokpicie.

Warto też dodać, że dokładnie pięćdziesiąt lat później, 18.12.1994 r., amerykańscy lotnicy z „Liberatora” – por. Spenser Felt, por. Thaddeus A. Delejewski i por. Edward S. Sichem, spotkali się w Ochojnicy z wybawicielami – polskimi partyzantami i mieszkańcami Ochojnicy, którzy opiekowali się nimi tuż po katastrofie i wspólnie odsłoniли pomnik upamiętniający tę katastrofę (w jego kompozycji wykorzystano fragmenty poszycia rozbitej maszyny).

Dzisiaj do miejsca katastrofy pod przełęczą Pańska Prechybka prowadzi ścieżka dydaktyczna Gorczańskiego Parku Narodowego „Dolina Potoku Jaszcze” – można tu dojść tylko z Ochojnicy – nie ma oznaczonej ścieżki ze szlaku prowadzącym z Turbacza na Gorc czy też ze schroniska Hawiarska Koliba. Oprócz widocznego na zdjęciach pomnika znajduje się tam tablica z mapą i przebiegiem zdarzenia. GPN ulokował tu także sympatyczny drewniany schron turystyczny – świetne miejsce na nocleg.



Joanna Grzesiak

WĘDRÓWKI PO ZAMKACH WIELKOPOLSKI

Wielkopolska to historyczna dzielnica polska obejmująca dorzecze środkowej Warty. Była terytorium plemiennym Polan, a na przełomie IX i X w. kolebką tworzenia państwa polskiego przez Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Obszar określano początkowo w źródłach jako *Polonia* (Polska), od 2 poł. XIII w. także jako *Polonia Major* – polski odpowiednik tej nazwy *Wielka Polska* używany jest od XIV w. Tutaj narodziło się Państwo Polskie, a świadectwo tych narodzin spotkać można na Szlaku Piastowskim wiodącym z Ostrowa Tumskiego w Poznaniu, przez Ostrów Lednicki do Gniezna, pierwszej stolicy Polski.

W przepiękny i zróżnicowany krajobraz Wielkopolski wpisane są niezwykle cenne zabytki architektury oraz różnorodne obiekty architektury drewnianej, zarówno świeckiej, ludowej, jak i sakralnej. Ale oprócz zabytkowych budowli Wielkopolska ma także liczne, bywa że unikatowe, muzea, skanseny, rezerваты archeologiczne i izby muzealne pielęgnujące tradycje regionalne. Wielkopolska to kraina pałaców i zamków. Wiele z nich pełni funkcje muzeów, jak w Kórniku, Rogalinie czy Gołuchowie. Wędrówkę po zamkach wielkopolskich proponuję rozpocząć od zwiedzania tego ostatniego.

ZAMEK W GOŁUCHOWIE

To północno-wschodnia część woj. wielkopolskiego, 13 km na północozachód od Kalisza, 35 km na południowschód od Jarocina, nad rzeką Ciemną zwaną kiedyś Trzemną. Historia zamku liczy ponad czterysta lat. Stanowił on własność rodu Toporezyków, Gołuchowskich herbu Wieniawa, Leszczyńskich herbu Wieniawa (1507-1695), Przyjemskich, Słuszków, Gurowskich, Swinarskich, Chlebowskich, Suchorzewskich i Kalksteinów. W 1853 r. Gołuchów kupił Tytus Działyński z Kórnika dla syna Jana Kantego w związku ze zbliżającym jego się ślubem z Izabellą Czartoryską. Za pieniądze pożyczone na pomoc powstańcom w 1863 r. Jan Działyński przekazał dobra gołuchowskie swej żonie, Izabelli Elżbiecie z Czartoryskich, która w latach 1972-85 przebudowała zamek z przeznaczeniem na muzeum. Przyświecała jej również myśl odtworzenia rezydencji królewskiego rodu Leszczyńskich, o czym przypominają dekoracje wnętrz oraz portrety króla Stanisława i jego córki, Marii. Zamek, choć

niewielkich rozmiarów, robi silne wrażenie. Na zewnątrz posiada liczne baszty, krużganki, wspaniałe dekoracje, rzeźby, figury, portale i znany z kilku filmów taras, natomiast w środku – przepiękne wnętrza, meble, kominki, obrazy, gobeliny, rzadkie eksponaty muzealne. To prawdziwa perełka wśród polskich zabytków, a do tego otoczona ładnym parkiem z arboretum, wspaniałym pałacem, kilkoma budynkami dworskimi, hodowlą żubrów i stylową restauracją. Jest więc co oglądać i podziwiać.

Chociaż w XIX w. zamkowi nadano wygląd francuskiej rezydencji renesansowej, to do dziś można odróżnić najstarszą część, jaką zajmował pierwszy dwór Leszczyńskich, oraz zobaczyć wiele elementów jego wystroju, w czym wielka zasługa właścicielki i autorki przebudowy Izabelli Działyńskiej. Dawny dwór to północna część zamku między czterema ośmiobocznymi wieżami. Jedna z nich – od północozachodu, została zniwelowana i utworzono na niej belweder (nadbudówka z punktem widokowym). Dwie z nich, flankujące wejście, zostały częściowo zrekonstruowane podczas wspomnianej przebudowy, w czwartej od zachodu znajduje się biblioteka. Na piwnicach dworu, które przetrwały w dobrym stanie, utworzono piękny taras. Wejście wciąż znajduje się w tym samym miejscu co pierwotnie, nie było jednak nad nim loggii. Od tej strony znajdował się ogród, a dalej zabudowania folwarczne. Największe komnaty mieściły się w skrzydle wschodnim: na pierwszym piętrze Sala Stołowa, na drugim zaś reprezentacyjna Sala Wielka. Na zachodniej ścianie znajdował się ganek z latrynami. Najwyższa kondygnacja otoczona była gankiem obronnym, do którego wchodziło się z baszt.

Po rozbudowie zamek-rezydencja zyskał skrzydło południowe z krużgankiem i dwie wieże, ale wyglądała nieco inaczej niż dziś, bowiem nowy budynek miał tylko jedno piętro (drugie dobudowano w XIX w.). Całość musiała prezentować się wyjątkowo ze względu na sześć wież o różnych kształtach i zróżnicowanie wysokości poszczególnych części mieszkalnych. Dodatkowo nie wyklucza się również istnienia attyki. Także wyposażenie wnętrza znacznie wzbogacono, tak by stało się godne potęgi rodziny Leszczyńskich. Wskazują na to niezliczone kamienne i marmurowe kominki (nawet w basztach), wspaniałe portale, zdobione sufity i okna, malowidła i kolekcje obrazów na ścianach. Do dziś można jeszcze zobaczyć kilka oryginalnych kominków i portali z tego okresu.



Zamek w Gołuchowie

<http://www.zamkipolskie.com/goluc/goluc.html>

Od 2 poł. XIX wieku rezydencja gołuchowska przypomina francuski zamek znad Loary, oczywiście w mniejszej skali. Ma pięć wież: trzy ośmioboczne, jedną sześcioboczną i jedną czworoboczną, w której znajduje się klatka schodowa. W odróżnieniu od innych pałaców, budowanych bądź przebudowywanych w XVIII i XIX w., w Gołuchowie przy ozdabianiu budowli wykorzystywano oryginalne elementy i wyposażenie renesansowych zamków europejskich, kupowane w antykwariatach francuskich i włoskich przez Izabellę Działyńską. Można tu wymienić medaliony z popiersiami cesarzy rzymskich nad łukami arkad krużganka, pochodzące z Francji z XVI w. czy florencką płaskorzeźbę z XV w. wyobrażającą Pochód Bachusa przy portalu głównym od strony dziedzińca.

Całość została przez księżną Izabellę przeznaczona na muzeum i podzielona według przemysłanej koncepcji na komnaty mieszkalne i reprezentacyjne polskiego możnowładcy z XVII w. oraz sale muzealne, na które składały się galerie i kolekcje gromadzone przez tegoż magnata. Przed wojną zamek gołuchowski był jednym z największych muzeów w Europie. Szczególnymi eksponatami była kolekcja waz i naczyń antycznych złożona z 259 egzemplarzy, pochodzenia greckiego, egipskiego, cypryjskiego, kartagińskiego i galijskiego. Był to efekt pasji kolekcjonerskiej Jana Działyńskiego. Zrabowana przez Niemców kolekcja została szczęśliwie odzyskana w 1956 r., ale w większości pozostała w Muzeum Narodowym w Warszawie. Do Gołuchowa powróciło niespełna sześćdziesiąt egzemplarzy. Także inne zaginione eksponaty powoli wracają do zamku. Pracownicy muzeum śledzą bowiem aukcje w Europie i wyłapują przedmioty pochodzące z Gołuchowa.

Juliusz Wystouch

NA KLEKOCINY I HAŁĘ KAMIŃSKIEGO

Jako że na Markowych Szczawinach oferta noclegowa schroniska jest dość skromna (14 miejsc, ale pełne wyżywienie) warto skorzystać z tego, czym dysponuje Zawoja. Jednakże Zawoja to pojęcie dość szerokie. Jest długa i rozległa, nie brak przysiółków, rozmaitych kwater i pensjonatów, wciąż żyje i funkcjonuje petetekowska „Hanka”. Luksusu tam nie uświadczysz, ale panujący w niej wystrój charakterystyczny dla schronisk z lat 60., 70. XX w. może być wystarczający dla normalnego plecakowego turysty, a starsi „zmęczeni luksusem XXI w.” mogą tam pomieszkać także z sentymentu. Lokalizacja „Hanki” jest niemal idealna dla podejmowania wycieczek w kierunku Babiej Góry, a także ku zachodowi w rejon Mędralowej, przełęczy Klekociny, a nawet na Jałowiec. Sprzyja temu przystanek busów i autobusów zlokalizowany tuż przy schronisku.

Ogromna większość wycieczkowiczów i turystów przebywających w Zawoi kieruje się na Babią, mało kto wędruje po innych szlakach. A są one może mniej „honorne”, ale za to dające wspaniałe widoki na Babią. Proponuję trasę na Klekociny i Hałę Kamińskiego (Magurka 1114 m). Właściwy początek drogi w Zawoi Składy w miejscu, gdzie czarny szlak odbija z głównej drogi w tył na lewo i wkracza na boczną uliczkę, krótką skądinąd. Mijamy kilka współczesnych już zabudowań (z pokojami dla gości), na końcu uliczki po prawej stronie jedna z nielicznych, prawdziwa dawna zawojska zagroda. Uliczka kończy się i przechodzi w szutrową drogę bystro



Na Mylnych Młakach

wznoszącą się wzdłuż potoku. Po kilkunastu minutach szeroki ostry zakręt w prawo, z którego imponujący widok na Babią. Idziemy mniej więcej ku północy, po prawej stronie wznosi się Kolisty Groń (810 m) znany od lat miłośnikom narciarstwa zjazdowego. Po pół godzinie otwiera się po prawej stronie widok na osiedle Mylne Młaki, mijamy zamieszkały koszar na owce (po lewej) i osiągamy drogę, na której znaki szlaku rowerowego. W pobliżu „las zakochanych” – grupa drzewek sadzonych z dedykacją dla bliskiej osoby przez uczestników projektu „Czas na las”. Skręcamy w lewo idąc za znakami biało-niebieskimi. Uwaga na miejsce, w którym w prawo odchodzi czarny szlak PTTK i szlak rowerowy – w tym miejscu odbijamy w lewo, po kilkudziesięciu metrach przekraczamy potok, potem płasko, ale za chwilę następuje znaczne zejście aż o spotkania kolejnego potoku. Przekraczamy go i ostro w prawo pod górę dochodzimy do równej szutrowej drogi Zawoja Welcza – Klekociny. Ta drogą w lewo na zachód lekko pod górę. Wiedzie tędy niebieski szlak pieszy PTTK i chętnie uczęszczany szlak rowerowy znakowany kolorem czerwonym. Prosty odcinek długości ok. 750 m doprowadza do ostrego zakosu w prawo, następnie zakos w lewo i po kolejnych 200 m osiągamy Klekociny



Trzy piwniczki

kiem Magurki. Warto zatrzymać się na hali i zalec w łanach jagód. Wystarczy ich dla wszystkich, dla zawodowych zbieraczy i dla wędrowców z plecakami. Z hali widok na masywną sylwetkę Mędralowej, bardziej rozległe widoki ze wspomnianego wierzchołka. Zatrzymujemy się przy węźle szlaków. Przecinają się w nim szlak zielony i czarny. Idąc na południe zielonym dojdzie się w rejon Przeł. Jałowieckiej, której można schodzić (zn. czarne) do Czatoży. To dłuższy wariant trasy. Krótszy to podejście za zn. czarnymi na północny skraj hali, po czym nagły skręt w prawo na szeroki leśny dukt i długie proste zejście do kolejnego zakrętu w prawo. Krótki odcinek na południe, zmiana kierunku na zachód i kolejny nagły zwrot kierunku na południowschód. Następuje zejście w kierunku dol. Czatożanki, już dość wygodne, z widokiem na cały masyw babiogórski. Naprawdę warto być w tym miejscu. Jesteśmy dość wysoko, a Babia stosunkowo blisko. Widać sporo szczegółów masywu, świetnie widać przebieg Perci Akademików i szlak grzbietowy z Brony przez Złotnicę i Kościółki na Diablak. Po osiągnięciu dna doliny wchodzimy na niewiarygodnie równą drogę gruntowa wysypaną jasnym żwirzem. Widok dość zaskakujący, bo droga jest równiejsza niż niejedna asfaltowa jezdnia w naszych miastach. Idziemy w kierunku Składow, kończy się żwirówka, spotykamy szlaban przegradzający drogę... a dalej już tradycyjny krzywy asfalt szosy prowadzącej do Zawoi Składy, Widły, Centrum itd. Mijamy ostatki dawnej zabudowy Zawoi: „trzy piwniczki”, „dzwonnice loretańska” i ze dwie tradycyjne zagrody. Wkrótce po prawej stronie urządzenia „stacji narciarskiej Czatoży”, czyli kilka mizernych budek, wyciągi narciarskie i stojące w nieładzie armatki śnieżne. Jeszcze 200 m i stajemy na skrzyżowaniu w Składow, skąd już kilkadziesiąt kroków do „Hanki”.

Czas przejścia opisanej trasy to około 4 godz. Bez pośpiechu, z wizytą w „Zygmuntówce” i z popasem na Hali Kamińskiego wyjdzie jakieś 6 godz. Kto ma ochotę, przebiegnie całą trasę nawet w 3 godz., ale to chyba nie jest turystyka. Można pokusić się na przejechanie trasy na rowerze, choć w kilku miejscach trzeba wziąć rowerek na plecy – ale warto. Dodam jeszcze, że trasę tę przeszedłem na początku sierpnia z 4,5- i 7,5-latkami, a zajęło to 8 godz., w tym 3/4 godziny w „Zygmuntówce”, pół godziny w jagodach na hali i pół godziny w naprędcie zbudowanej „gawrze” przeczekując burzę i podziwiając pioruny walące w Małą Babią – było na co patrzeć. Na koniec ostrzeżenie. Można spotkać na niektórych odcinkach tej trasy *quady* – nie liczcie na rozsądek kierowców!



Babia ze Składow

Ryszard Tunkiewicz

JAK ZDOBYŁEM MONT BLANC ?

8.06.07 piątek, godz. 20: pożegnalna kolacja, piwko, ostatnie pocałunki i na pieszo do pociągu; po 40 min jestem na dworcu. Jeszcze ostatnie przemyślenia, co zabrałem, a co nie. Telefon do żony, żeby sprawdziła, czy zabrałem kurtkę p/deszczową. Wszystko w porządku. W drodze pod Poznaniem awaria składu: 1,5 godz. czekania. Spotkanie w Katowicach przy pl. Andrzeja mamy o godz. 10, chyba zdążę. Godz. 9 z minutami i jestem na miejscu pierwszy. Do 10. pojawiają się wszyscy. Jest nas 6 osób i 2 prowadzących, 4 facetów i 2 dziewczyny, młode, szczuplutkie, wręcz chude, plecaki ich przygniatają, zadaję sobie pytanie, jak one sobie poradzą w górach? Jest: prowadzący Bogdan Margrel – prezes Polskiego Klubu Alpinistycznego, Adam Sikora – kierowca prowadzący, Agnieszka, Ania, mały Gerard, górnik Piotr, Tomek z Dzierżoniowa i ja ze Szczecina. Wsiadamy do VW busa i w drogę: jedziemy przez Niemcy do Szwajcarii, a następnie do Włoch pod Grand Paradiso, na który mamy zamiar się wdrapać w celu aklimatyzacji i treningu przed wejściem na Mont Blanc.

10.06.07 niedziela. Jazda trwała 21 godz., męcząca i brzydka, bo w rynnach transportowej (jak ja nazywam autostradę), bez widoków i monotennie. To wszystko wynagradzają nam góry. Na miejscu jesteśmy ok. 7:00, jest dzień. Rozbijamy na kempingu namioty i w „kimę”, w południe budzi nas silne słońce. Robimy wspólne jedzenie (stół szwedzki), do jutra laba; zwiedzanie okolicy, kąpiel, dalszy odpoczynek itp. Przyglądam się z dołu jutrzejszej czekającej nas trasie, szczyty całe ośnieżone. Dzisiaj pogoda piękna, ale jutro, jak to w górach, nie wiadomo, może być różnie. Wyjście zaplanowane o godz. 4. Wieczorem najpierw silne grzmoty, a potem trzygodzinna ulewa. Od tego, czy jutro będzie bez opadów, uzależnione jest wyjście w góry. Alpinizm – to czekanie na dobrą pogodę. Góra, na którą jutro mamy się wspinać, to Gran Paradiso (4061m). Jak się zachowa mój organizm (nie wiem, tak wysoko nigdy nie byłem)? Może być różnie, mogą nie wytrzymać kolana, może boleć głowa lub kręgosłup. Wejście na Gran Paradiso jest po to, żeby siebie sprawdzić, jak będzie reagował organizm. W namiocie jestem razem z Gerardem, młodym chłopakiem, szybko zasypiamy. Mój sen to na w pół jawa, myślę o wszystkim i o niczym, rano czuję, że trochę spałem, bo jestem w miarę wypoczęty.

11.06.07 poniedziałek. Wstajemy bardzo rano, przy śniadaniu dostaliśmy prowiant na cały pobyt, każdy sobie będzie przygotowywał posiłki. Pakujemy do plecaków tylko część prowiantu, a wszystko, co się nie przyda w górach, zostawiamy w samochodzie, którym przyjechaliśmy. Pomimo że dużo rzeczy odrzuciliśmy, plecak strasznie ciężki. Przewodnicy ostrzegają nas, że każdy gram rzeczy zbędnych tam wysoko w górach odczujemy w nogach. Bierzymy najpotrzebniejsze rzeczy, do tego liny, uprząż, raki, czekan, kijki, kask, namioty; z tego wszystkiego zrobił się taki ciężar, że ledwo możemy go unieść. W górę namiot niesie Gerard, ja będę znosił w dół.

Jesteśmy na wysokości 1800 m chcemy dojść do 3200 m, tam rozbić namioty, przenocować w nich, a rano pomiędzy godz. 3 a 5 zaatakować szczyt. Aby było lżej, bierzemy tylko trzy namioty na osiem osób. Dziewczyny będą spały razem z mężczyznami, będzie cieplej i przyjemniej. Mozolnie krok za krokiem pniemy się w górę, najpierw do miejsca, gdzie dochodzą jeszcze turyści, dalej już tylko alpiniści. Plecak potwornie ciężki. Na wysokości 2000 m w schronisku odpoczynek, piwko. Dalej po potężnych zwaliskach kamiennych (bez kijków nie ma szans na marsz), zaczyna się śnieg. Zakładamy raki i w górę.

Stromo coraz bardziej i ciężko, plecak wciska człowieka w śnieg, ciężko dysząc spieszymy się, bo zanoszą się na deszcz, zaczyna padać. Komplet ubrań „oddychających” bardzo się sprawdza. Ale, niestety, deszcz spadł tak szybko (ulewa), że nie zdążyliśmy ubrać się w kurtki i spodnie p/deszczowe. Jest decyzja, że namioty rozbijamy, tu gdzie stoimy, ale zanim to wszystko rozpakowaliśmy, wszyscy kompletnie przemokliśmy, a miało to miejsce na wysokości 3150 m. Całkowicie przemoczeni pakujemy się do małych namiotów, liczymy na to, że deszcz ze śniegiem przestanie padać i wszystkie wrzucone byle jak rzeczy ułożymy sobie potem. Jednakże przeliczyliśmy się, deszcz nadal padał.

Trzeba było zabrać się do ścielenia sobie miejsca do spania, najpierw ubić śnieg pod karimatami, trzy osoby na tak małej powierzchni to nie lada wyczyn. Przemieszczając się z jednego miejsca na drugie próbowaliśmy to wykonać. Na nic nie zdały się nasze próby wyrównywania sobie miejsc do spania. Nareszcie ułożyliśmy się: Ania w środku, będzie miała najcieplej, ja i Gerard po bokach. Gerard cały czas się trząsał z zimna, musieliśmy okryć go specjalną folią aluminiową, żeby się ogrzał. Plecaki i to, co w plecakach, wszystko mokre. Jedynie, co miałem suchego, to spodnie i bluza z polaru. Woda dostała się też do butów, skarpety również mokre, żadnej możliwości wysuszenia. Bardzo trudna sytuacja, ponieważ namioty rozkładane w czasie ulewy też mokre. Podsumowując: w namiocie wszystko mokre a na zewnątrz ulewa. Opis ten nie oddaje jednak tak trudnej sytuacji, w której się znaleźliśmy i musieliśmy przeżyć. Jutro, jak przestanie padać, atak na szczyt Gran Paradiso.

Pierwszy raz jestem na takiej wysokości i sam jestem zaskoczony, że bardzo dobrze się czuję. Nie odczuwam zawrotów ani bólów głowy. Wracając do warunków panujących w namiocie, nigdy w życiu nie spałem, a nawet nie leżałem na tak nierównej powierzchni. Pozycja moja to litera V: nogi w górze, głowa w górze, a pupa w dole, w dodatku na całej powierzchni wybrzuszenia wielkości pięści. Nie było wyjścia, w takiej pozycji trzeba było przetrwać do rana, nie było mowy o zaśnięciu. Spiwór nasiąknął wodą, ponieważ dotykał mokrego namiotu przy temperaturze -1° na zewnątrz. W takich warunkach przetrwaliśmy do godz. 5: zaczyna się nowy dzień.

12.06.07 wtorek. Dalszy ciąg zmagania się w namiocie. Przygotowywanie śniadania na trzy osoby plus plecaki i cały sprzęt alpinistyczny (wyczyn godny księgi rekordów), jeszcze tylko ubrać się w mokre skarpetki, pomimo że całą noc suszyły się na naszych brzuchach – dobra rada przewodnika, zakładamy ochraniacze, raki. Do plecaka wkładamy tylko kurtkę p/deszczową, picie w termosie, kilka



Droga na Mt Blanc. Fot. Tomasz Śnieżek

batoników i w drogę na szczyt. Śnieg jest po deszczu miękki, zapadamy się pod kolana i tak krok po kroku; są chwile, kiedy wydaje się, że dalej nie da rady, nogi odmawiają posłuszeństwa, oddech staje się krótki, częściej się zatrzymujemy, aby wyrównać oddech. Tak trawersując metr po metr, pnemy się w górę związani liną po cztery osoby. Odległość od poszczególnych osób wynosi 5 m. Wszystkie trudy wspinaczki rekompensują widoki gór: piękne, dzikie groźne zapierające dech. Z każdego miejsca w różnej konfiguracji oglądamy MONT BLANC, który jest głównym celem naszej wspinaczki.

Nareszcie dochodzimy do szczytu: to gołe skały, jeszcze tylko kilka przypiąć się do skał, kilka metrów przejścia z asekuracją i osiągamy cel Gran Paradiso. Jesteśmy zadowoleni, że udało nam się pokonać wielkie trudności. Teraz tylko sesja zdjęcio-

wa, nasycenie oczu widokami i schodzimy w dół. Wbrew przypuszczeniom zejście wcale nie jest lżejsze niż wejście. Trzeba tak samo, a nawet bardziej uważać. Większość wypadków zdarza się właśnie przy zejściach. Wydaje mi się jednak, że jest lżej, chociaż nacisk na stawy kolanowe jest większy przy schodzeniu w dół. Kijki są bardzo pomocne, bez nich chyba bym nie dał rady. I tak w mokrym śniegu pod kolana czasami schodząc, czasami zjeżdżając, ślizgiem zbliżamy się do namiotów. Już są w zasięgu naszego wzroku, widzimy najpierw trzy małe punkciki, potem coraz większe, rozróżniamy kolory i już jesteśmy przy nich. Jesteśmy na 3150 m, a to dopiero połowa drogi w dół. Składamy namioty i wszystko, co zostawiliśmy (łącznie ze śmieciami), pakujemy do plecaków i zabieramy. Dodatkowo jestem teraz obciążony namiotem. Ciężkie to wszystko bardzo, nie znajduję określenia, jak bardzo. Czasami myślę, że to, co przeżywam, to jakieś złudzenie, do tej pory takie sytuacje widziałem tylko na filmach, tymczasem to ja jestem w centrum wydarzeń. Droga niemiłosiernie się wydłuża i oto na horyzoncie pojawia się nasz kemping. Ale to tylko widać, żeby do niego zejść i odpocząć, trzeba jeszcze wylać dużo potu i bólu w nogach. Zejście to sprawa indywidualna, nieograniczona czasem. Jednakże schodzimy wszyscy razem, wsiadamy do i jedziemy do Francji do Chamonix u stóp Mont Blanc. Po około 3 godz., w tym 10 km tunelem pod Mt Blanc, jesteśmy na kempingu w Chamonix. Miasteczko można porównać do Zakopanego, ok. 15.000 mieszkańców. Rozbijamy namioty, kąpiel, posiłek itp.

13.06.07 środa. Śpimy do oporu, ile kto może. Po śniadaniu jedziemy na trening na 50-metrowej skale, poćwiczyć wejścia i zjazdy na linie (różne techniki). Np. wyjście ze szczelin lodowych. Uczy-

my się wiązania węzłów przydatnych w górach. Wszystkie te ćwiczenia są dla naszego bezpieczeństwa, ponieważ będziemy powiązani na wspólnej linie. Trenujemy do godz. 17, jesteśmy bardzo zmęczeni. Bolał mnie wszystkie mięśnie, szczególnie uda. Wieczorem znowu burza. Udało mi się dodzwonić do mojego Słoneczka, zaraz potem zasypiam kamiennym snem.

14.06.07 czwartek. Są plany, żebyśmy dzisiaj poćwiczyli na jeszcze wyższej skałce wspinaczkowej. Bolał mnie wszystkie mięśnie, nie mam pojęcia, jak to będzie dalej. W ramach relaksu jedziemy na zakupy do Chamonix (cztery ulice na krzyż, kilka sklepów i koniec miasta. Nie powala i nie zachwyca. Kupiłem kubeczek *made in France* i piękny widok masywu górskiego ze szczytem Blancu, po którym będę się wspiął. Dojechały do nas jeszcze cztery osoby, w tym jedna dziewczyna. Komplet to trzy zespoły po cztery osoby związane na linie. Jeśli sprawnie zdobędziemy szczyt, zostanie nam sporo czasu: planujemy jechać na Lazurowe Wybrzeże i tam odpocząć, może się uda, zobaczymy. W Górach wszystko uzależnione jest od pogody. Dzisiaj jest pięknie, słonecznie, temperatura na ulicy w Chamonix 25° C. Leżymy, opalamy się, niektórzy już mają oparzone twarze, uszy, usta. Na razie mnie to ominęło. Mówią, że smarują się kremem z filtrem 100, ja mam tylko 20. Jak na razie, jedyna strata to termos, który wypadł z plecaka i pojechał sobie z Gran Paradiso (Włosi bogatsi o mój termos). Co nie przywiązane do plecaka, to siłą przyciągania zjeżdża w dół. Teraz doceniamy, jak potrzebne jest szkolenie przedwyjazdowe, zasady zachowania się w górach, etyki górskiej itp. Rzecz upuszczona w górze może uderzyć w kogoś lub spowodować lawinę.

15.06.07 piątek. Wczoraj opalanie, dzisiaj mieliśmy wychodzić w góry, ale w nocy zaczął padać deszcz i pada w dalszym ciągu. Wyjście w góry odłożone na lepszą pogodę. Psychicznie i fizycznie jesteśmy przygotowani do wejścia – cierpliwie czekamy. Przed chwilą dotarła nowa wiadomość, że, niestety, nie została jeszcze uruchomiona kolejka zębata TMB, która normalnie w sezonie podjeżdża do wysokości 2300 m. My musimy zacząć podchodzenie od wysokości 1300 m. Deszcz padał do samego wieczora. Zapada decyzja, że jutro idziemy bez względu na pogodę. Czas zaczyna się nam dłużyć, dobrze, że dostałem od Agnieszki książkę, lekarstwo na nudę i beczynność.

16.06.07 sobota. Po śniadaniu jedziemy samochodem do kolejki, która zawiezie nas do wysokości 1300 m. Dalej, aż do 2300 m, będziemy szli szynami tramwaju. Jest to bardzo męcząca droga po podsypce. Wielki wysiłek, krok za krokiem, bardzo wolno z całym swoim sprzętem na plecach. Po około 2 godz. dochodzimy do miejsca, do którego normalnie powinniśmy dojechać. Chwila odpoczynku, uzupełnienie płynów i dalej w górę mozolne wspinanie się, ale już po potężnych głazach i kamieniach. Zaczynają pojawiać się połacie śniegu, trawersując raz w prawo raz w lewo, pniemy się coraz wyżej i wyżej. Zakładamy uprząż, jest to pas mocowany w pasie i w pachwinach, do którego później mocuje się linę, na głowę zakładam kask, na buty raki (specjalna konstrukcja z kolcami), z pomocą których można bezpiecznie chodzić po ośnieżonych zboczach. Tak ubrani i powiązani jeden za drugim, wzajemnie się asekurując dochodzimy do miejsca zwanego *kuluarem spadających kamieni* lub Kuluarem Śmierci. Jest to najbardziej niebezpieczne miejsce w drodze na Mt Blanc.

Przewodnicy Darek i Adam mówią nam, że okres naszego przejścia jest bezpieczniejszy, gdyż śnieg nie topił się i przez to nie obnażał kamieni, które w okresie letnim powodują ogromne zagrożenie dla przechodzących tędy ludzi. Pokonywanie tego miejsca odbywa się tak: jeden z przewodników przechodzi na drugą stronę, patrzy w górę i przez radiotelefon podaje informację, czy przejście na tyle jest bezpieczne, że można przechodzić i każda osoba oddzielnie, bez żadnego zabezpieczenia, krok po kroku, uważając, żeby nie zaplątać się w jakieś wystające elementy własnej uprząży, pokonuje ten najniebezpieczniejszy odcinek drogi. Dalej ośnieżonymi zboczami w rakach i po linach zamontowanych na stałe, wchodzimy na wysokość 3150 m do schroniska Tete. Tu chwilę odpoczywamy, posilamy się własnym prowiantem. Nie tracimy cennego czasu, idziemy dalej, żeby dojść dzisiaj jak najwyżej, najbliższej szczytu. Po drodze dochodzimy do następnego schroniska Gonter na wysokości 3817 m: znowu chwila odpoczynku i w górę (bo gdzieżby indziej).

Pogoda bardzo się popsuła, wieje bardzo silny wiatr, idziemy bardzo wolno, często zatrzymujemy się regulując oddech, dochodzimy do schronu „Vallot” na wysokości 4362 m. Mijamy go jednak i idziemy wyżej. Pierwszy raz jestem w tak trudnych warunkach zimowych. Powyżej Vallota rozbijamy na stoku góry namioty, cztery małe mieszkanek w warunkach ok. -2° C. Trzeba mieszkać, gotować, jeść, spać na powierzchni niewiele większej od „chusteczki do nosa”, aby uzyskać wodę topimy śnieg. Podejście tak nas wykończyło, że jedna osoba padła tak, jak stała, do namiotu w niczym się nie udzielając, niby jak miała to, robić skoro, tak się trzęsła z zimna i wyczerpania, że przysporzyła nam zmartwień, co będzie z nią dalej. Dla mnie zostało odrobinę miejsca, mogłem położyć się tylko na boku, jakoś siłą woli przetrzymałem do rana.

Cdn.

GDZIE KOŃCZY SIĘ ZIEMIA...

Portugalia, państwo na krańcu Europy Zachodniej, tam, „gdzie kończy się ziemia, a zaczyna morze”, odległe, lecz budzące coraz większe zainteresowanie turystów. Jest to kraj nostalgicznej muzyki fado, upojnego wina porto i korka: większość bowiem kraju pokrywają lasy dębu korkowego. Kraj pachnący smażonymi sardynkami oraz wspaniałą aromatyczną kawą. Historię tego kraju można poznać nie tylko dzięki zabytkom architektury, lecz także odczytać z ceramicznych kafelków, zwanych tutaj „azulejos”, które są najbardziej charakterystycznym elementem portugalskiego pejzażu. Portugalia z dwóch stron oblana jest Oceanem Atlantyckim. Na zachodnim wybrzeżu, na północ od stolicy kraju Lizbony, rozciąga się „Riwiera Portugalska” – główna miejscowość wypoczynkowa to Cascais. Zaledwie o kilka kilometrów od niej znajduje się przylądek Roca – najbardziej na zachód wysunięty punkt kontynentu europejskiego. Powstało tu wspaniałe klifowe wybrzeże, a jedzie się nań przez maleńkie rybackie wioski z domami wymalowanymi na biało. W pobliżu Cascais znajduje się Boca do Inferno – „Wrota Piekła” lub „Gardziel Diabła” – najniebezpieczniejsze miejsce, gdzie fale Oceanu rozbijają się o skały tworząc fontannę opadającą na szosy biegnące wybrzeżem. To tutaj rozbijały się o skały statki. Opodal rozciąga się przyklejona do skał malownicza plaża.

Natomiast południowe wybrzeże to prowincja Algarve, która z dwóch stron styka się z Atlantykiem, od północy z górami Serra de Malhão i Serra de Monchique. w którym rośnie dąb korkowy i jadalny kasztanowiec, od Hiszpanii oddziela ją graniczna rzeka Guardiana. Algarve to nazwa prowincji historycznej. Najpierw znajdowała się ona pod panowaniem Rzymian, później w VIII-XIII w. okupowali ją Arabowie nie pozwalający rozwijać się kulturze Portugalczyków. Jeszcze do dziś mieszkańcy stosują w rolnictwie metody mające swój rodowód w krajach arabskich, a także wielką sieć do połowów sardynek, którą wprowadzili Arabowie. Oni to również wprowadzili na te tereny drzewka migdałowe, które kwitnąc przypominają płatki śniegu. Z tego regionu pochodzi migdałowa wódka. Algarve posiada wspaniałe warunki turystyczne. Lato jest tutaj upalne i bez opadów. Długie piaszczyste plaże, kryształowoczyste morze sprzyjają wypoczynkowi i uprawianiu sportów wodnych. Przyroda również nie poskąpiła walorów. Już w Albuferia można podziwiać strome skaliste wybrzeże w odcieniach czerwieni. Poza tym zachowało się wiele pozostałości z czasów romańskich, które można obejrzeć w Tavira. Są tu także mury obronne z czasów arabskich. Natomiast stolicą prowincji jest Faro, ważny dla Portugalii port rybacki. Wybrzeże obfituje w wioski rybackie o malowanych na biało domach.

Sześć kilometrów od wybrzeża, na zachodnio-północnym krańcu, położone jest przy ujściu Duero drugie co do wielkości miasto Portugalii – Porto. Okręg Porto jest najbardziej uprzemysłowionym i najgęściej zaludnionym rejonem kraju. Miasto odegrało ważną rolę w historii. Około I w. p.n.e. powstała tu rzymska osada Portus Cale po podbiciu zamieszkujących w tym rejonie plemion luzatyńskich. W 540 r. ziemie te podbili Wizygoci, a w latach 711-718 Arabowie. Po rekonkwiescie w początkach XII w. powstało państwo Portugalii, obejmujące okręgi Porto i Coimbra. Dzielnica Porto *Matosinhos* to dawna osada ry-



Przylądek Espichel



Obidos - azulejo w bramie miejskiej

backa położona malowniczo na pofalowanym terenie. Podziwiamy tu wąskie uliczki z fasadami domków pokrytych „azulejos”, które tworzą geometryczne wzory. Przez bramy domostw można zajrzeć do środka - znajdują się tam patia ozdobione fontannami i roślinnością. Główną aleją Porto jest Avenida da Boavista, biegnąca wśród willi otoczonych araukariami, hortensjami, bougainwilliami i palmami. Śródmieście to przeważnie secesja z końca XIX w. Na wysokim brzegu Duero rozciąga się najpiękniejsza część Porto – starówka. Uwa-

gę przyciąga dwunastowieczna romańska katedra. Natomiast wysoka kolumna na placu przed katedrą jest klasycznym przykładem iberyjskiej odmiany renesansu. Warto także obejrzeć kościół Carmo pod wezwaniem św. Ildefonsa, która robi niezwykle wrażenie dzięki fasadzie wyłożonej „azulejos”. Położone na obu brzegach Duero miasta łączą trzy mosty. Jednym z nich jest dwupoziomowy żelazny Ponte de Dom Luis I, zaprojektowany przez inż. Eiffla. W dzielnicy Villa Nova de Gaia, leżącej po lewej stronie rzeki, rozwinęło się winiarstwo. To stąd właśnie pochodzi słynne portugalskie wino porto. W jednej z wielu rozlewni „porto Calem” można je degustować, s także dokonać zakupów tego wspaniałego trunku. Na rzece turyści mogą obejrzeć łodzie typu fenickiego, dawniej służące do wywozu wina poza miasto do piwnic.

Od Porto odległa tylko o 100 km jest Coimbra – stolica historycznej prowincji Beira, położonej na zboczach dol. Rio Mondego. Coimbra oddalona jest od Oceanu Atlantyckiego zaledwie o 40 km. Miasto obecnie związane jest ściśle z uniwersytetem, który przeniesiono tu z Lizbony w 1306 r. Po kilkukrotnej zmianie siedziby powstał w Coimbrze na stałe od 1537 r. Uniwersytet ten stanowi jeden z pomników narodowej kultury, a zarazem turystyczną atrakcją tego malowniczego miasta. Wzgórze uniwersyteckie, położone w środku doliny i centrum, góruje nad nim swoim majestatem. Święto zakończenia roku akademickiego w maju jest kolorowe i rozbrzmiewające śpiewem studenckich chórów. Uniwersytet kształci na potrzeby całego kraju. Poza jego terenem warto także zwiedzić w Coimbrze romańską katedrę i klasztor św. Krzyża.

Okolice Coimbrzy to tereny rolnicze. Kilka kilometrów na północ, w dolinie rzeki rozciąga się obszar winnic. Wina tego regionu charakteryzuje specyficzny aromat, uzyskany dzięki panującemu tu mikroklimatowi. Tu też na przełomie XV i XVI w. rozpoczęto produkcję „azulejos”, które początkowo sprowadzano z Maroka i Andaluzji. Barwnymi mozaikami ozdabiane są ściany zewnętrzne domów, niektóre są o wzorach geometrycznych lub roślinnych. Inne przedstawiają sceny z życia mieszkańców kraju. Przedstawiano na nich wszystko, co wyrażało odrębność kultury portugalskiej od hiszpańskiej. W „azulejos” dominuje barwa niebieska, chociaż mogą być one także brązowe, bordowe lub wielokolorowe. Wyruszając z Coimbrzy w kierunku południowym po około 50 km docieramy do imponującej Batalhi. W 1385 r. Portugalczycy stoczyli w pobliżu zwycięską bitwę z Kastyljczykami. W dowód wdzięczności i upamiętnienia pomyślnego wyniku bitwy król Jan I wybudował tutaj kościół i klasztor Bitwy Mosteiro da Batalha. Wokół powstała później miejscowość. Kościół i klasztor są najcenniejszymi zabytkami narodowymi Portugalii. Budowa trwała 150 lat, jednak nie została ukończona. Pomimo to fascynuje swoim ogromem i bogactwem architektonicznym. Z prawą nawą kościoła łączy się kaplica Fundatora z pięknym gwiaździstym sklepieniem. Znajdują się w niej sarkofagi Jana I i jego angielskiej żony Filipy z Lancaster, a także ich dzieci. Warto zajrzeć też do Krużganków Królewskich,

których widok wprost zdumiewa. Jest to piękny przykład połączenia gotyku i manuelińskiej ornamentyki. Podziwiać tu można filigranową kamienną koronkę. Niektóre kolumny krążganków mają kształt lin, inne natomiast palm. Wszystkie urzekają lekkością.

W drodze do Lizbony odwiedzić warto Fatimę – miejsce kultu Maryjnego, słynne ze swych objawień. Podróżując po Portugalii koniecznie należy zwiedzić największe miasto – stolicę. Położona jest ona na siedmiu wzgórzach, z których rozciąga się wspaniała panorama na rzekę Tag i stare dzielnice. Typowe dla starej Lizbony są kręte, krzywe i wąskie uliczki wspinające się lub opadające. Przemierza je zabytkowy tramwaj nr 28 z czasów I wojny światowej. Najstarsze dzielnice to Barrialto i Alfama. Domy w nich pokryte są na zewnątrz niebieskim „azulejos”, często o tematyce religijnej. Z niewielkich kafejek wieczorami słychać nostalgiczne, smutne ballady fado opowiadające o miłości, przeznaczeniu i rozstaniu. Nastrój pieśni w pełni oddaje charakter miasta i jego mieszkańców – powolnych, melancholijnych i jakby nieobecnych, chociaż pełnych optymizmu. „Lizbona to pieśń miłości, symfonia zapachu i światła”, to jedno z najpiękniejszych miast świata. Historia Lizbony jest bardzo bogata. W 714 r. odebrali ją Wizygotom Maurowie, panując ponad 400 lat tym miastem. W 1147 r. Lizboną władał książę burgundzki Alfons III, który był pierwszym królem Portugalii. Od XV w. Lizbona została stolicą królestwa. Na jednym ze wzgórz, górującym nad dzielnicą Alfama, stoi zamek Saó Jorge – dawna rezydencja królów, obecnie ruiny. U stóp fortecy w dolinie, pomiędzy dwoma wzgórzami, leży dzielnica Baixa. Znajduje się tu charakterystyczna winda Santa Justa skonstruowana przez Eiffla. Prowadzi ona do leżącej na przeciwnym zboczu XIX-wiecznej secesyjnej dzielnicy Chiado. Mieszczą się w niej ekskluzywne sklepy i stylowe kawiarenki. Najstarszą jest Cafe Brasileira, w której przed laty spotykała się arystokracja, kupcy i podróżnicy.

Lizbona ma bardzo wiele zabytków, lecz najstojniejszą budowlą jest Torre de Belém. Renesansowa wieża Belém powstała w latach 1515-1521 z rozkazu jednego z największych monarchów portugalskich – Manuela, na miejscu, skąd Vasco da Gama wyruszył w swoją wielką podróż do Indii. Miała ona strzec wejścia do lizbońskiego portu przed piratami. Z tarasu wieży rozciąga się panorama ujścia Tagu i portugalskiej stolicy. W czasach, gdy służyła ona jako więzienie, przebywał w jej murach Józef Bem – osadzony tam po nieudanej próbie stworzenia w Portugalii Legionu Polskiego.

Manuel założył także klasztor hieronimitów Mosteiro das Jerônimos. Jest to przepiękny przykład stylu manuelińskiego stanowiącego odmianę gotyku połączonego z renesansem i elementami architektury arabskiej. Nad samym brzegiem Tagu stoi marmurowy Pomnik Odkryć Geograficznych, którym szczycą się Portugalczycy. Symbolizuje on żaglowiec wysokości 50 m. Pomnik poświęcono królowi Henrykowi Żeglarzowi, który – choć sam nie brał udziału w zamorskich podróżach, był jednak wielkim ich protektorem. Prowadzi on pochód podróżników-odkrywców. W dawnym klasztorze Madre de Deus znajduje się Muzeum Azulejos, które gromadzi najciekawsze obrazy majolik. Oprócz przedstawień religijnych i historycznych są w nim także karykatury oraz ogromna, ponad trzydziestosześcioletnia panorama Lizbony z XIX w.

Warto również odwiedzić i inne mniejsze miejscowości z przepięknymi zabytkami architektury oraz urokliwymi starówkami ze smakowitymi zapachami i dźwiękami nostalgicznego fado.

Fot. Ludmiła Kapłon



Zamek nad Tagiem - Almoroul

PRZYRODA I HISTORIA NIAGARY

W końcu wylądowałem w Chicago. Przywitanie brata, amerykańskiego Polonusa, miłe i serdeczne. Miasto, bardzo, a bardzo duże i różnorodne. Jak się okazało, i moje wrażenia zapisały się wieloma odcieniami kolorów, smaków i dźwięków. Czy mogło być inaczej, kiedy cała Ameryka jest taka różnorodna. Jedną z pierwszych wycieczek był wyjazd nad wodospad Niagara. W sierpniową sobotę o godz. 4 ruszyliśmy busem w kierunku wspomnianego wodospadu. Organizator – Glaxy Tour, przygotował program dwudniowej wycieczki. Dwunastogodzinny, monotony przejazd urozmaicały bramki opłat na autostradzie i krótki odpoczynek na stacji benzynowej. Wnętrze budynku wskazuje potrzebne kierunki, czy do czystej i funkcjonalnej toalety, czy też do bufetu samoobsługowego, w którym można szybko i smacznie zjeść. Jest też kącik turystyczny tegoż regionu. Około 5. popołudniu jesteśmy w mieście Niagara Falls. Czynnikiem miastotwórczym po obu stronach rzeki były wodospady po stronie amerykańskiej i kanadyjskiej. Dzisiaj każda para młodzińców stara się spędzić miodowy miesiąc właśnie w tym mieście.

Lecz początek tego cudu przyrody zaczyna się około 12 tys. lat temu: to cofające się i topniejące lądolody stworzyły strugę wodną z zamkniętego jeziora Erie w kierunku północnym, do jeziora Ontario. Przy tym jeziorze powstał pierwszy wodospad. Dzisiaj rzeka ma 54 km długości, ale silna erozja wsteczna spowodowała cofanie się wodospadu na odległość ponad 11 km. W ciągu roku następuje przesuw o 1,5 m. Są trzy wodospady i każdy ma swoją nazwę:

- „Amerykanin” ma długość 300 m i wysokość wodospadu 61 m,
- „Welon panny młodej” (Bridal Veil) oddzielony jest wysepką Luna Island (Księżycowa Wyspa) i Goat Island (Kozia Wyspa),
- „Wodospad Podkowy” (Horseshoe Falls) o długości 900 m i wys. 63,6 m.

Przez te trzy wodospady w ciągu minuty przepływa 425 tys. m³ wody. A jest to połowa masy wodnej, drugą część skierowano do kilku hydroelektrowni. Dla przykładu, turbiny hydroelektrowni Roberts Moses wytwarzają 3 ml KM. Całkowita drzemiąca moc nurtu rzeki wyliczona została na 50 mln KM.

Pierwsze informacje o wodospadach otrzymali biali ludzie od Indian ze szczepu Irokezów, którzy nazwali ten cud natury ONY-AKA-RA (Grzmiąca Woda). W 1675 r. na mapie francuskiej oznaczono to miejsce, a w kilka lat później stanęli tu pierwsi ludzie. Byli nimi: franciszkański mnich Louis Hennepin i podróżnik Thomas Hart Beneton Mural, co się wydarzyło w 1678 r. Pierwszym Polakiem, opisujący Niagarę, był Julian Ursyn Niemcewicz, który przybył do Ameryki z Tadeuszem Kościuszką. Nazwa Koziej Wyspy pochodzi od kształtu tego skrawka ziemi, widzianego z lotu ptaka. Połączenie ze stałym lądem zapewniają mosty dające dojazd i dojście od strony amerykańskiej.

Zjechaliśmy windą do podnóża wodospadu „Amerykanin”, dostaliśmy płaszcze przeciwdeszczowe z kapturami, a na nogi specjalne kaptcie. Schody i pomosty pozwalają dojść do Jaskini Wiatrów, a nieślizgające się kaptcie zmniejszają ryzyko wypadku. Otoczenie sprawia niesamowite widoki, woda z wysokości ponad 60 m, uderzając w tę będącą już na dole, tworzy kropelki i pył wodny. Grzmot żywiołu dopełnia czarę wrażeń. Wracamy do górnej części wyspy, gdzie roztacza się widok na wodospady. Dalej, widać wieżę obserwacyjną i Most Tęczy łączący brzegi USA i Kanady. Turyści, którzy są na tym punkcie widokowym, robią zdjęcia wykorzystując piękno natury i twory ludzkiej ręki.

Kolejną atrakcją turystyczną, jest dojście lub



Typowy wygląd przedmieść Chicago
Fot. Krzysztof R. Mazurski

dojazd do nadbrzeża w pobliżu wieży obserwacyjnej i popłynięcie stateczkiem „Druhna Mgły” w pobliże wodospadów. I w tym przypadku potrzebujemy płaszcze przeciwdeszczowe, gdyż rozbryzgi drobin wodnych sięgają kilkudziesięciu metrów od spadającej wody. Nienasyceń widokami, mamy jeszcze jedną atrakcję, do której idziemy ok. 1 km od wspomnianego nadbrzeża, wzdłuż biegu rzeki. Na lotnisku helikopterów, za opłatą 30 \$, wsiada się w taki pojazd powietrzny i na 15 min lata się nad wodospadami. Właśnie z wysokości lotu możemy podziwiać cud natury i miasta po obu stronach rzeki. Pilot, widząc ciekawość pasażerów, może podlecieć jak najbliżej Wodospadu Podkowy – co jest dużym przeżyciem. Wieczorem idziemy na spacer w pobliże wodospadów, podziwiając podświetlane barwne strumienie spadających wód.

W niedzielny poranek wita nas słoneczna pogoda i po śniadaniu wsiadamy do busa jadącego do Youngstown. W pobliżu miasta zwiedzamy Bazylikę MB Fatimskiej, której budowę rozpoczęto w 1954 r. Bazylika z oddali ma kształt połowy kuli, na której wierzchołku patronuje potężna figura MB. Drugim niesamowitym wrażeniem są tablice z nazwiskami darczyńców. Ile jest tutaj polskich nazwisk!

Kolejne miejsce to Fort Niagara zwany też Starym Fortem, wybudowany w miejscu, gdzie rzeka Niagara wpada do jez. Ontario. Od 1726 r., kto rządził w Fortcie, ten był panem rzeki i jeziora – jeziora o powierzchni 19.521 km² z głębokością 237 m. Budowę rozpoczęli Francuzi i przez wiele dziesiątków lat trwał spór pomiędzy właśnie między nimi, Indianami, Anglikami, Kanadyjczykami i Amerykanami. W Kanadzie, po drugiej stronie jeziora znajduje się prowincja Ontario ze stolicą o tej samej nazwie. Powyższy obiekt przygotowany jest na przyjęcie turystów i wchodząc przez bramę z drewnianą palisadą, widzimy: wielohektarowy plac z budynkami gospodarczymi, koszary, a w głębi po prawej stronie – potężna kamiennodrewniana warownia uzbrojona w armaty. Armaty stoją też przy palisadzie, od strony rzeki i jeziora. Widoczność z najwyższego piętra warowni jest rozległa i daleka. Przy budynkach toczy się życie z czasów XVIII w., część żołnierzy ćwiczy musztrę, inni stoją na warcie. Kobiety piorą, szyją i przygotowują posiłek. Przy warowni trzech młodych żołnierzy ćwiczy rzuty siekierą i nożem do celu – turyści chodzą między nimi, oglądają i robią zdjęcia.

Po 1,5-godzinnym zwiedzaniu, wsiadamy do samochodu i kierujemy się do potężnej hydroelektrowni Roberts Moses. Obejrzenie, zakup pamiątek i porobienie zdjęć trwa nie dłużej niż półgodziny. Wracamy i około godz. 13 ruszamy w powrotną drogę. W Chicago jestem po północy, kilka godzin snu i znowu rozpoczyna się kolejny, ciekawy dzień w Ameryce.



Norwegia Krajem Partnerskim TOUR SALON 2008

Norwegia została Krajem Partnerskim tegorocznych Targów Regionów i Produktów Turystycznych TOUR SALON, które w tym roku odbędą się 16-18 października br. Wystąpienie kraju przygotowuje Ambasada Norwegii, która wraz z norweskimi firmami turystycznymi promować będzie na targach najpiękniejsze zakątki i rodzimą turystykę. *Nastawiamy się przede wszystkim na dni biznesowe. Zależy nam na nawiązaniu nowych owocnych kontaktów z polskimi firmami turystycznymi.* – mówi Konrad Konieczny, Market Manager for Tourism w Ambasadzie Norwegii. Dlatego też najważniejszym punktem programu będzie narodowy warsztat norweski, podczas którego Norwedzy przedstawią najnowsze oferty turystyczne polskim biurom podróży i touroperatorom. Zostanie on urozmaicony prezentacją na temat Norwegii z udziałem Elżbiety Dzikowskiej. Wśród uczestników warsztatów rozlosowana zostanie nagroda specjalna – wyjazd do Norwegii.

W wystąpieniu Norwegii nie zabraknie oczywiście atrakcji dla szerokiej publiczności trzeciego dnia targów. W planach jest prezentacja atrakcji turystycznych Norwegii połączona z konkursem z nagrodami, degustacje, występy i pokazy oraz promocja na dużym stoisku, które w tym roku zajmie ponad 100 m² i obecna na nim będzie także Dania.

Marta Sykucka – Międzynarodowe Targi Poznańskie

Tomasz Kowalik

W PIĘCDZIESIĄT LAT PÓŹNIEJ – ZŁOTY JUBILEUSZ (2)

Organizowanie coraz liczniejszych imprez i obozów wędrownych wymagało zapewnienia im przewodników obeznanych z terenem, sposobami ich prowadzenia, finansowania, przekazywania – zgodnie z tradycjami polskiego krajoznawstwa – informacji geograficznych, historycznych, udzielania pierwszej pomocy. W takich okolicznościach doszło do zorganizowania na przełomie lutego i marca 1956 r. przez Komisję Turystyki RN ZSP pierwszego Centralnego Kursu dla Przewodników Studenckich. W Michałowicach koło Karpacza do podniesienia poziomu umiejętności i rozwijania wkrótce studenckiej turystyki w warszawskim ośrodku akademickim mieli się przygotować wspomniani W. Dylis, Halina Wiączek, M. Łukasik, W. Kulicki. Kursanci dostali podstawową wiedzę z historii turystyki, geografii turystycznej, znajomości polskich gór, metodyki przewodnictwa, terenoznawstwa, finansowania turystyki studenckiej, pierwszej pomocy i ratownictwa. Aby zapobiec niezdrowej konkurencji, nakładania się terminów imprez w atrakcyjnych rejonach, uniknięcia tłoku w nielicznych schroniskach, umożliwienia chętnym z różnych ośrodków akademickich „kalendarza imprez” i brania w nich udziału, w Michałowicach nastąpił „podział stref wpływów”. Najbardziej atrakcyjne regiony kraju na zasadzie koleżeńskiej umowy przypisano organizatorom turystyki akademickiej. Środowisku warszawskiemu przypisano Bieszczady i Beskid Niski, Góry Świętokrzyskie, Wielkie Jeziora Mazurskie i Pojezierze Suwalsko-Augustowskie. Już podczas wakacji 1956 r. na Mazurach odbyły się pierwsze obozy kajakowej, dzięki prężnemu działaniu od 1954 r. Klubu Wodniaków przy PW, a jesienią 1956 r. w Beskidzie Niskim wędrowały 2, a w Bieszczadach 10 obozów wędrownych. Także jesienią tego roku w Bartkowie zakończył się z udziałem 200 osób pierwszy większy Rajd Świętokrzyski studentów PW, a w zimie rajd narciarski z udziałem 50 osób, którym kierowali Szymon Nowakowski i Mieczysław Łukasik. Jesienią 1956 r., niezależnie o wspomnianych obozów w Beskidzie Niskim, jakby na potwierdzenie i dla doskonalenia wiedzy z kursu w Michałowicach, odbyło się tzw. przejście przewodnickie. Brali w nim udział W. Dylis, W. Kulicki, T. Łętocha i Halina Wiączek.

Jednak możliwości zaspokojenia potrzeb i zainteresowania dobrze zorganizowanymi imprezami czy obozami wędrownymi w atrakcyjnych regionach kraju znacznie przerastały realne warunki. Dobranie najbardziej odpowiednich uczestników oficjalnie zależało od wyników nauki czy zaangażowania społecznego. W czasie wędrowki ważniejsze były kondycja fizyczna, umiejętność przebycia trasy w nieznanym terenie, samoobsługa w warunkach biwakowych, choćby niewielka wiedza o górach. Za pomocą takiego „przeglądu kwalifikacji kandydatów” na górskie obozy wędrowne w Bieszczadach czy Beskidzie Niskim ich uczestnicy nie byli całkiem przypadkowi, a ich sposób bycia w znacznym stopniu przesądzał o ich powodzeniu zespołowej wędrowki. Zebrane w pierwszych latach doświadczenia organizatorskie, a zwłaszcza przewodnickie pod znakami ZSP i PTTK nie tylko w Warszawie, doprowadziły do formalnego utworzenia studenckich kół przewodników turystycznych, czyli przede wszystkim do prowadzenia wakacyjnych obozów wędrownych. Jesienią 1957 r., po drugim z kolei obozie szkoleniowym w Michałowicach i egzaminie takie uprawnienia uzyskali początkowo tylko dla potrzeb środowiska warszawskiego Tadeusz Bogumił, Teresa Gnys, Leszek Kopczyński, Andrzej Kopiccki, Andrzej Matias, Andrzej Padzik, Jacek Jusiewicz. W takiej sytuacji, gdy grupa doświadczonych przewodników była coraz liczniejsza, dojrzał pomysł utworzenia w warszawskim środowisku akademickim osobnego koła przewodników. Równocześnie w ZSP i PTTK krystalizują się nowe formy organizacyjne turystyki akademickiej „na wysokim szczeblu”. Od 1956 r. zaistniało Biuro Pod-

róży i Turystyki jako wyspecjalizowana agenda Komisji Wczasów, Turystyki i Sportu w RN ZSP. Wszak trzeba było coraz sprawniej organizować tzw. turystykę krajową, przede wszystkim wakacyjne obozy wędrownie i zimowe obozy narciarskie. Potrzeby rosły niemal lawinowo, choć mało komu marzyła się swobodna i wielokierunkowa turystyka zagraniczna, która jeszcze wiele lat nie była przeciwwagą dla niemal siermiężnej turystyki w kraju. Warto z kronikarskiego obowiązku odnotować, że w 1956 r. za granicę za pośrednictwem ZSP wyjechało niespełna 2 tys. studentów, w tej liczbie większość na staże zgodnie z kierunkami studiów, praktyki, imprezy sportowe, a także nieliczne imprezy i festiwale artystyczne, skąd studenckie zespoły wracały zwykle z licznymi nagrodami i apetytem na kolejne wyjazdy.

Kolejnym krokiem w rozwoju turystyki akademickiej miało być już znacznie wcześniej, bo w 1955 r., utworzenie Komisji Turystyki Szkół Wyższych jako tzw. komisji środowiskowej czy też problemowej w ZG PTTK. Miała ona spełniać rolę koordynatora działania coraz liczniejszych uczelnianych kół i oddziałów uczelnianych bądź międzyuczelnianych PTTK. W ciągu kilku pierwszych lat ta komisja nie odznaczała się wybitną aktywnością, jej działania nabrały tempa w 1958 r. po włączeniu do Komisji Młodzieżowej ZG PTTK. Następnym krokiem ku integracji działań ZSP i PTTK na rzecz rozwoju turystyki i krajoznawstwa akademickiego było w 1962 r. porozumienie obydwu organizacji, ze szczególnym naciskiem na rozwijanie przewodnictwa studenckiego. Celem było doprowadzenie przewodników studenckich do uprawnień zawodowych przewodników państwowych, zgodnie z przepisami sławnego zarządzenia nr 173 Głównego Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki z 1960 r. Po wspomnianym wcześniej kursie w Michałowicach w październiku 1957 roku powstało Koło Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych przy Radzie Okręgowej ZSP w Warszawie. Jego pierwszym prezesem został Wojciech Kulicki, wymieniony wcześniej kilka razy jako jeden z najbardziej aktywnych działaczy turystycznych w warszawskim środowisku akademickim. Było to trzecie z kolei w kraju akademickie koło przewodników, pierwsze w listopadzie 1955 r. pod przewodnictwem Włodzimierza Kulczyckiego powstało Studenckie Koło Przewodników Górskich w Krakowie. W grudniu 1956 r. projektowany, powstał 16.01.1957 r. (formalnie zarejestrowany 30.01.1959 r.) – odnowiony na wzór AKT ze Lwowa, Akademicki Klub Turystyczny we Wrocławiu. Składał się z Sekcji Górskiej i Koła Przewodników, niebawem Studenckiego Koła Przewodników Sudeckich. Pierwszym prezesem był Jan Marek. Ten klasyczny model naśladowano także w następnych latach w Gliwicach, Łodzi, Szczecinie, Warszawie, Olsztynie. Przejawem dążenia do naśladowania tradycyjnych wzorów organizacyjnych, zarówno w uprawianiu turystyki oraz wyrażonych także w nazewnictwie, było utworzenie Akademickiego Klubu Turystycznego w Warszawie, działającego w latach 1958-1960. Jego prezesem był Andrzej Smirnow. Krótkotrwały żywot tego klubu był spowodowany zapewne konkurencyjnym działaniem wielu innych kół i klubów. Nakładanie się struktur o niemal takich samych celach działania, głównie w tych samych terenach górskich, prowadziło do rozproszenia sił organizacyjnych, a nawet do sytuacji konfliktowych. Od 19.01.1960 r. zaczął działać Oddział Międzyuczelniany PTTK w Warszawie. Jego pierwszym prezesem był Jan Szukalski, zastępcami Janusz Kozioł i Krzysztof Sierakowski, sekretarzem Joanna Kotowicz – studenci Politechniki Warszawskiej. Oddział był dotowany ze środków ZG PTTK, które służyły finansowaniu imprez oraz turystycznych obozów dla starszej młodzieży szkolnej, przygotowując sobie tym sposobem aktywistów, którzy rozpoczną studia na warszawskich uczelniach. W 1963 r. powstał Klub „Kałamarzyki”, skupiających przyszłych studentów-turystów. Oddział skupił powstające kolejno uczelniane koła tej organizacji i specjalistyczne kluby turystyczne, np. Klub Autostopowy „Klakson” prowadził punkt sprzedaż książeczek autostop i bazę namiotową dla jego uczestników w Warszawie, a skromne dochody przeznaczano na zakup sprzętu turystycznego do wypożyczalni.

Swoistym znakiem czasu w latach 1959-1965 były liczne inicjatywy organizacyjne, które wyrażały się w dążeniu studentów poszczególnych uczelni, a nawet wydziałów, do tworzenia własnych wydziałowych klubów turystycznych oraz kół PTTK. Typowym zjawiskiem w kolejnych latach były np. kluby turystyczne działające na większości wydziałów Politechniki Warszawskiej, uczelniane koła PTTK – nr 2 przy Uniwersytecie Warszawskim, nr 3 przy Akademii Medycznej, nr 4 przy Szkole Głównej Planowania i Statystyki, nr 5 przy Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, nr 6 przy Wydziale Chemii UW, nr 7 przy Akademii Wychowania Fizycznego, nr 8 przy Akademii Teologii Katolickiej. W 1964 r. powstał Klub Organizatorów Turystyki przy Politechnice Warszawskiej. W 1961 r.

powstał Akademicki Klub Narciarski przy Radzie Okręgowej ZSP i Oddziale Międzyuczelnianym PTTK. Jako pierwsi przewodniczyli Klubowi Michał Ziębiński i Ewa Beynar. Miał on na celu popularyzowanie narciarstwa, tzw. akcja otwartych stoków, szkolenie instruktorów, organizowanie rajdów, imprez i obozów narciarskich w górach. Szkolenie narciarskie prowadziło także Koło Przewodników Studenckich w celu pozyskania specjalistycznej kadry dla zimowych obozów szkoleniowych, wypożyczkowych oraz imprez narciarskich. Tak w latach 1956-1960 utrwały się struktury, programy działania, zasięg, daty kalendarza stałych imprez, wyznaczając swoisty rytm turystyki akademickiej – czyli w okresie wakacji, ferii świątecznych i ferii semestralnych oraz w ciągu roku akademickiego. Nawiązywanie do wzorów AKT sprzed półwiecza oznaczało także swoiste formy i styl, a przede wszystkim wyróżnianie się niezależnymi strukturami, których władze wybierano w cyklu corocznych walnych zebrań wyborczych i sprawozdawczych z powodu dużej rotacji typowej dla środowiska akademickiego wyznaczanej przez rytm studiów i znaczną liczbę osób po dyplomach wychodzących z uczelni do nowych miejsc pracy w całym kraju. Swobodną decyzję w tym zakresie znacznie hamowały tzw. nakazy pracy i obowiązkowe staże zawodowe w określonych przedsiębiorstwach.

Coraz pełniejsza samodzielność organizacyjna studenckiego oddziału PTTK, komisji Wezasów, Turystyki i Sportu ZSP, liczne kluby turystyki kwalifikowanej i turystyczne na wydziałach, nie zamykała drogi do nowych form działania, a nawet konkurencyjnych dla jako tako okrzepłych w warszawskich uczelniach i środowisku, o dorobku istotnym, liczącym się jako wybitny w skali krajowej w dziedzinie popularyzacji turystyki. Według ocen z lat 60., w warszawskich uczelniach na studiach dziennych, zaocznych i wieczorowych studiowało ponad 61 tys. osób. Już podczas akcji letniej w czasie wakacji 1962 r., prowadzonej przez Koło Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych, w 24 obozach wędrownych i 24 kempingowych w Bieszczadach i Beskidzie Niskim wzięło udział ponad 1 tys. osób. Jednocześnie szacunkowe wyliczenia mówią o udziale 20% warszawskich studentów w organizowanych własnymi siłami imprez i obozów turystycznych w wielu regionach kraju. Ogółem, np. w 1962 r., nakłady wspomagające turystykę studencką w Warszawie wynosiły 572 tys. zł, a w 1964 r. 1,15 mln zł. Wpłynęło z działalności turystycznej odpowiednio 83 i ponad 1 mln zł. Dzięki takiej sytuacji finansowej możliwe było hojniejsze dofinansowanie akcji letnich obozów wędrownych, wyposażenie i uruchomienie wypożyczalni sprzętu turystycznego oraz wykonanie remontu i wyposażenie w nieodzowny sprzęt pierwszego, nie tylko dla potrzeb studentów warszawskich, schroniska turystycznego pod Łopiennikiem w Bieszczadach. W ciągu kilku lat w Oddziale skupiło się wielu doświadczonych przewodników, zarówno studentów, jak i absolwentów, którzy uzyskali uprawnienia przewodników odznak i organizatorów turystyki. To umożliwiło utworzenie komisji i referatów turystyki górskiej, pieszej i kajakowej – najbardziej popularnych w środowisku akademickim. W 1965 r. powstał Terenowy Referat Weryfikacyjny GOT, a w 1967 r. Referat Odznaki Turystyki Pieszej oraz Turystycznej Odznaki Kajakowej pod egidą Klubu Wodniaków przy Politechnice Warszawskiej. Przewodnicy GOT pełnili swoje obowiązki w bazie w Zagórzu w sezonie obozów wędrownych oraz podczas tradycyjnych rajdów górskich w Bieszczadach i Beskidzie Niskim.

Ważnym wydarzeniem było w grudniu 1962 r. nadanie 18. członkom Studenckiego Koła Przewodników – po egzaminie przed komisją regionalną w Rzeszowie, pierwszy raz w warszawskim środowisku akademickim uprawnień przewodników państwowych III klasy. Osobliwość tego zdarzenia polegała też na tym, że studencka grupa przewodników powstała formalnie w znacznej, największej wśród siebie podobnych, odległości od górskiego rejonu działania w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Ze względu na dalszy rozwój organizacyjny turystyki akademickiej nie tylko w Warszawie, ale także w relacjach z innymi środowiskami akademickimi w kraju na polu niezależnej turystyki, nadaniu tych uprawnień można przypisać znaczenie „kroku milowego”. Można też uznać, że uprawnienia tego rodzaju to swoiste „świadectwo dojrzałości”. W ten sposób Koło miało formalną podstawę do zmiany swego statusu, tj. z grupy amatorów, ograniczonych formalnie w swojej misji do warszawskiego, a szerzej do środowiska akademickiego w całym kraju, stało się w 1963 r. Studenckim Kołem Przewodników Beskidzkich. W nowej sytuacji jego działalność regulowało Porozumienie z 1962 r. między RN ZSP a ZG PTTK oraz Regulamin studenckich kół przewodników z 1962 r. Istotny udział w opracowaniu tego porozumienia oraz określeniu roli studenckich przewodników miał delegowany do tych uzgodnień Andrzej Jacek Harski, współzałożyciel Oddziału Międzyuczelnianego PTTK w Warszawie. Jego imieniem w 1964 r. nazwano tradycyjną imprezę „na zakończenie sezonu”,

z zasady listopadowy Złaz Kampinoski. Ustalono przynależność organizacyjną Koła do Oddziału Międzyuczelnianego PTTK i Rady Okręgowej ZSP w Warszawie, a do zakresu uprawnień i obowiązków – przede wszystkim organizowanie w rozmaitych formach turystyki górskiej, doskonalenie wiedzy i umiejętności przewodnickich członków Koła, szkolenie swoich następców i prowadzenie akcji górskich letnich obozów wędrownych, baz namiotowych i schroniska pod Łopiennikiem, w którym gospodarzem był Witold Cygan.

Każdy jubileusz, żeby nie wiem, jak godny był sam jubilat, był, jest teraz i na pewno – bez obawy o dużą pomyłkę – będzie za kolejne ileś tam lat okazją do wspomnienia. O sprawach banalnie prostych, o wydarzeniach jeżących włosy na głowie i bardzo wzniosłych, o czynach na miarę bohaterów. Zawsze jednak taki jubileusz będzie skażony niedopowiedzeniami, zdarzenia mimo usilnych starań pozostaną za mgłą minionych lat i utoną w morzu naszej niedoskonałości pamięci. Nie sposób doliczyć się, ile czynów z tej prawdziwej historii będziemy słać, a ile także nieświadomie zapomnieliśmy. Na pewno liczne z nich przekażemy, ogólnie rzecz biorąc – naszym potomnym. Oczywiście – ku własnej chwale, ku przestrodze i nauce, dla zaznaczenia swego miejsca, ale też z życzliwości i dobrego serca następcom. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy – nie powiemy, bo nie zapisaliśmy, czy to w pamięci, czy to „na papierze”, czy na „nośnikach elektronicznych” foto, audio i wideo, wszystkiego. A mam dziwne przecucie, że to po prostu niemożliwe. Jednak, mimo wszystko to, co nieodwracalne, jak upływający czas:

*Sadźmy róże, sadźmy róże
Długo jeszcze temu światu
Szumieć będą śnieżne burze,
Sadźmy je przyszłemu latu! [...]*

To jedna trzecia wiersza jednego z zacnych naszych przodków na turystycznych bezdrożach i ledwie wydeptanych ścieżkach. To właśnie 175 lat temu Seweryn Goszczyński – jako jeden z coraz liczniejszych w następnych latach twórców wielu dziedzin sztuki – pokazał wielu swoim współczesnym i potomnym drogę ku górcom. Poeta czasów romantycznych, jako uciekinier po powstaniu listopadowym z Warszawy, z ukrycia w dworze Tetmajerów w podhalańskiej Łopusznej, w 1832 r. wędrował i spisał „Dziennik podróży do Tatrów”. Zasłużył sobie na miano odkrywcy, ale nie tyle tajemniczych wtedy gór, lecz góralszczyzny. Podziwiana przez niego kultura ludności podhalańskiej znalazła się w naszej literaturze narodowej i na wyżynach kultury polskiej. Czy mierzone połową stulecia to wszystko, co udało się zrobić na beskidzkich szlakach, w Bieszczadach i Beskidzie Niskim, kilkudziesięciu pokoleniom zaangażowanym w sprawy codzienne turystyki akademickiej, jest „sadzeniem róż... przyszłemu latu”? Nie wyrokujmy, bez względu na wielkość naszego, i w pewnym stopniu także ważnego dla wielu innych – jubileuszu. Przecież nie tylko w tych kresowych górach z naszej przyczyny



**Jezioro Pilchowickie na tle panoramy Karkonoszy.
Fot. Piotr Dacko**

się stawało dorobkiem całego środowiska akademickiego. To część polskiej turystyki i krajoznawstwa, drobna, lecz dla nas jakże ważna część naszej osobistej, a zarazem wielkiej polskiej kultury. Musimy bowiem doliczyć to wszystko, co się stało dzięki naszym poprzednikom, oni też zbierali niemałe plony w tej dziedzinie – to przecież razem już sto lat. Zapisane na licznych kartach, w wielu nieznanym księgach, a jednak nie do łatwego sumowania w liczbach, do ogarnięcia jedną myślą, nie do wypowiedzenia w choćby najbardziej uroczystych i wzniosłych, słowach.

Koniec

Śnieżka - święto na szczycie

W niedzielę, 10 sierpnia w dniu św. Wawrzyńca już po raz 28. na najwyższym szczycie Sude-
tów – Śnieżce (1602 m), uroczystość obchodzą Dzień Przewodników i Ratowników. Wśród
setek osób tego dnia na szczycie największą grupę stanowili przewodnicy sudeccy, przewodnicy z
innych gór i regionów, członkowie sudeckich grup GOPR oraz czeskiej Horskej slu•by. Ze świętują-
cymi spotkali się także prezydent Czech Vaclav Klaus oraz wicepremier rządu RP Grzegorz Schetyna.
Specjalną okolicznościową mszę odprawił ordynariusz diecezji legnickiej Kościoła rzymsko-katolic-
kiego, ks. bp Stefan Cichy. Całość uroczystości poprzedziło zaś wręczenie prezydentowi Czech (który
już od kilku lat tego dnia wchodzi na najwyższą górę
Czech) przewodnickiej bluzy polarowej, „blachy” wraz
unikatową plaketką PŘÍTEL PRŮVODCŮ (Przyjacieli
Przewodników). Inicjatywa ustanowienia na Śnieżce
Święta Przewodników i Ratowników zrodziła się w śro-
dowisku jeleniogórskim „ludzi gór” już w 1981 r., a
data obchodów oraz wybór św. Wawrzyńca na patrona
przewodników wiążą się z kaplicą na najwyższym
szczycie Sude-
tów, poświęconą właśnie temu świętemu.
Część oficjalną zakończyło złożenie wiązanki kwiatów
na symbolicznym cmentarzyku „Ofiar Gór” w Kotle
Łomniczki.

Śnieżka ze Srebrnego Uplazu



Na szczycie Śnieżki



Prezydent Republiki Czeskiej Vaclav Klaus

EKOLOGIA

Ekologia lub ochrona środowiska to dziedzina nauk przyrodniczych zajmująca się badaniem wzajemnych zależności między organizmami a środowiskiem. Te powiązania polegające na wzajemnym przekazywaniu za pośrednictwem łańcuchów ekologicznych energii i materii, powodują powstawanie większych i mniejszych ekosystemów (tzn. wzajemnie zintegrowanych układów populacji różnych gatunków wraz z ich nieożywionym środowiskiem na jednym obszarze), aż do największego ekosystemu, jakim jest cała biocenoza. Powszechne i przebiegające na wielu płaszczyznach powiązania między organizmami żywymi powodują, że zachwianie równowagi w jednym punkcie układu (np. zniszczenie życia w jakiejś rzece spowodowane odprowadzaniem przez przemysł toksycznych ścieków) powoduje zachwianie równowagi całego systemu, natomiast przy zakłóceniu równowagi w punkcie o szczególnie dużym znaczeniu (np. lasów amazońskich) skutki mogą być odczuwalne przez całą biosferę. Stwierdzenie tych faktów uczyniło z ekologii naukę pełniącą kluczową rolę w ochronie przyrody. Dlatego nazwa „ekologia” bywa często używana zamiennie „sozologią”, czyli nauką o ochronie środowiska.

Gwałtowny rozwój techniki i przemysłu, jaki miał miejsce w czasach nowożytnych, spowodował naruszenie równowagi ekologicznej w skali globalnej, co w konsekwencji zwraca się również przeciw całemu gatunkowi ludzkiemu. Dlatego też ten początkowo marginalny problem zajmuje coraz więcej miejsca również w nauce społecznej Kościoła. Po raz pierwszy w dokumentach Stolicy Apostolskiej pojawił się w encyklice POPULORUM PROGRESSIO Pawła VI i od tej pory stale przewija się w nauczaniu papieskim.

Specyfiką nauczania Kościoła na temat kryzysu środowiskowego jest to, że traktuje on kryzys w stosunkach człowiek – przyroda jako jeden z przejawów kryzysu obejmującego całą naszą cywilizację; ochronę środowiska widzi w kategoriach nie tylko technologicznych, ale przede wszystkim moralnych.

•ródłem kryzysu jest arbitralne traktowanie zasobów naturalnych jako wyłącznie rezerwuaru dóbr konsumpcyjnych. W perspektywie wiary przyroda jest nie tylko otoczeniem, od którego jesteśmy mniej lub bardziej biologicznie uzależnieni, ale jest częścią misterium stworzenia, z której wolno nam korzystać, ale której winniśmy również szacunek.

Prymat człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże, nad całą przyrodą jest w katolickiej myśli społecznej czymś oczywistym, niemniej nie można tego rozumieć jako akceptacji postawy bezwzględnej dominacji. Przeciwnie, uprzywilejowana pozycja człowieka w świecie przyrody nakłada na niego, oprócz uprawnień, również obowiązki. Człowiek używając zasobów naturalnych do własnych celów powinien brać pod uwagę naturalny porządek przyrody i szanować immanentną celowość, jaką Bóg zawarł w każdej rzeczy.

Często ostatnio podnoszone są zarzuty, że za kryzys ekologiczny odpowiedzialna jest tradycja judeochrześcijańska z powodu wyniesienia człowieka ponad przyrodę, zapoczątkowanego w wezwaniu z Księgi Rodzaju „czyńcie sobie ziemię poddaną”. Tymczasem nauczanie Kościoła podkreśla, że źródłem kryzysu ekologicznego jest nie samo „panowanie”, a złe używanie władzy, jaką człowiek posiada. Rozdzielenie i przeciwstawienie człowieka i przyrody ma swe korzenie nie w Biblii, gdzie człowiek jest najważniejszą wprawdzie, ale jedną z wielu istot stworzonych i poddanych woli Boga, ale w pewnych współczesnych ideologiach absolutyzujących człowieka.

Problem ochrony przyrody ma również wymiar społeczny. Zasoby naturalne winny służyć w pierwszym rzędzie zaspokajaniu podstawowych potrzeb ludzkich. Zarówno korzyści, jak i koszty rozwoju cywilizacyjno-technicznego powinny być równo rozkładane na wszystkich ludzi. Niedopuszczalne

jest, by społeczeństwa bogate ekologicznymi skutkami swego rozwoju obciążały kraje uboższe. Nie można również obciążać kosztami następnych pokoleń, zostawiając im w spuściźnie zdewastowane środowisko naturalne.

Prawdziwa ochrona środowiska to nie działania zmierzające do zupełnego zaprzestania ingerencji człowieka w przyrodę i zachowania jej w absolutnie nienaruszonym stanie, ale harmonijne współistnienie i wspólny rozwój człowieka wraz z otaczającym go światem. Nie jest to problem technologiczny nowych wynalazków, które by ograniczyły emisję trujących pyłów i ścieków, ale przede wszystkim nowy styl życia odrzucający konsumpcję za wszelką cenę, a na pierwszym miejscu stawiający solidarność między ludźmi i wynikający z niej nowy stosunek do przyrody.

(Słownik Katolickiej Nauki Społecznej, W-wa 1993, 45 s.)



Juliusz Wystouch

OTN MOSORNY GRONŃ czyli niewypał

Kilka lat temu, kiedy zawojscy samorządowcy zdecydowali o budowie ośrodka narciarskiego na Mosornym Groniu, pisałem na łamach NS, że będzie to jeszcze jedna nietrafiona inwestycja przynosząca straty głównie w przyrodzie, ale i od strony materialnej. Jak wiemy, zbudowano kana-pową kolej linową, stok narciarski i coś na kształt infrastruktury mającej obsługiwać narciarzy, a nawet turystów. Dziełu temu nadano nazwę Ośrodek Turystyczno Narciarski, powstała strona internetowa sławiąca jego walory.

Już na początku działalności były kłopoty techniczne i kolejka stanęła z pasażerami na kana-pach. Dolna, stroma część stoku nie była stabilna i groziła osuwiskiem. Trochę się kręciło to wszystko przez jakiś czas, ale kiedy zaglądałem na stronę internetową OTN, to niemal zawsze widziałem komunikat „kolej linowa nieczynna”. Tak było w minionym sezonie narciarskim. Będąc na początku sierpnia w Zawoi wymyśliłem trasę wycieczki zahaczającą o ów obiekt mający rozślawiać imię Zawoi w świecie, a nawet poza jego granicami. Trasa wiodła z Zawoi Podryzowane szlakiem żółtym w kierunku Mosornego Gronia. Po milej wędrówce stanąłem na wierzchołku. I co zobaczyłem? Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to śmieci wylewające się ze śmietnika i zalegające na całej kopule szczytowej. Drugi zarejestrowany obrazek to niewykończony budynek (chyba hotel górski), na szczęście niezdemolowany. To zapewne dlatego, że aby stanąć na Mosornym trzeba tam iść spory kawał drogi, a chuliganom nie chce się chodzić. Dlaczego? Bo kolejka linowa (całoroczna!!!) nie działa. A miała wozić „turystów” mających podziwiać widok Babiej Góry z wierzchołka, miała przynosić sławę i dobrobyt licznym mieszkańcom Zawoi, miała być kołem zamachowym rozwoju podbabiogórskiej dziedziny.

W tej chwili cały ten interes nie działa, nawet strona internetowa nie jest całkiem aktualna (info o pogodzie z 1.06.2008), kolejka stoi czy może raczej wisi, a na Mosorny dociera pieszo w ciągu dnia kilkanaście osób. Jak się dowiedziałem, OTN nie zapłacił za energię elektryczną, więc maszyna stoi. Nie dzieje się nic. Może to i dobrze. Może wreszcie różni poprawiacze krajobrazu roztaczający przed lokalnymi działaczami wizje dynamicznego rozwoju wycofają się z nedorzecznych pomysłów. Przecież od początku istnienia OTN nie przyniósł ani złotówki czystego zysku. A miało być tak pięknie. Niech to będzie ostrzeżenie dla samorządu i pomysłodawców kolejki na Lipowską (Rysiankę), którzy już przymierzają się do budowy. Niech ostudzi to gorące głowy pomysłodawców budowy ośrodka narciarskiego z kolejką linową na Małą Babią Górę, którzy chcą wyłączyć kawał babiogórskiego masywu z Parku Narodowego.

A widok ze szczytu na Babią jest rzeczywiście imponujący. Zresztą z wierzchołka rozpościera się pełna panorama. Ponad Krowiarkami widać Tatry. Poza widokami na uwagę zasługuje schronszalas, którym turysta może nawet przenocować w wypadku nagłej potrzeby. Nie ma w pobliżu wody, ale to nie jest wielki problem. Doświadczony turysta zawsze nosi wodę w plecaku. To jednak już całkiem inny temat.



Śmieci i górna stacja kolejki



Schron na Mosornym



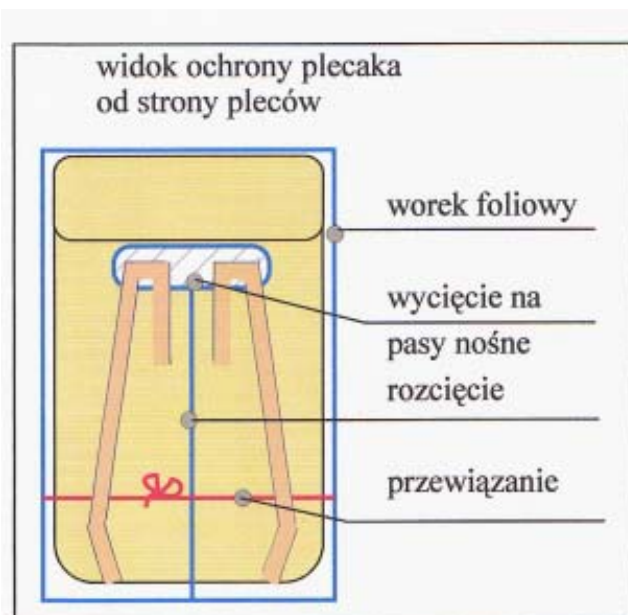
Babia z Mosornego

Juliusz Wystouch

Radzić, nie radzić?

Radzić, nie radzić, przypomnieć można. Dawno, dawno temu, kiedy nie było kilkudziesięciu sklepów z „wypasionym” sprzętem turystycznym, ani zakupów przez internet, doradztwo w kwestiach sprzętowych było dziecinnie łatwe. Nieliczni turyści posiadali nieliczne egzemplarze jakiegoś sprzętu i zbierali doświadczenie w jego używaniu. Dość powszechne było „rękodzieło”, czyli własne pomysły, kombinacje i tzw. „patenty”. Dzielenie się własnym doświadczeniem z innymi, choćby na łamach NS, miało praktyczne znaczenie, ten i ów może i skorzystał z jakiejś porady. Co zostało z tamtych czasów? Choć owe „patenty” są zastępowane przez wyroby fabryczne, niektóre, moim skromnym zdaniem, wytrzymują konkurencję.

Oto ochrona plecaka przed wodą. Można kupić w sklepie ochraniacz (pokrowiec) na plecak płacąc od 16 do kilkudziesięciu zł. Wykonane są z nylonu, poliamidu, stylonu powlekanego itp. Producenci i sprzedawcy zapewniają, że są to wyroby nieprzemakalne. Na pewno w połączeniu z wodoodporną tkaniną plecaka taka ochrona jest dość, i przez jakiś czas, skuteczna. Taki pokrowiec o nieco bardziej złożonej budowie niż worek z wciągniętą gumą kosztuje 60-80 zł. Wydaje się jednak, że prawdziwie nieprzepuszczalna jest tylko folia polietylenowa. Odpowiednio przycięty duży worek (rysunek) naprawdę ochroni plecak i jego zawartość przed penetracją wody przez długi czas i można spokojnie wędrować z taką ochroną w deszczu, jeśli ktoś chce lub musi. No cóż, czasem nie ma się gdzie schronić i przecie-



kać deszcz, czasem trwa deszczowa „trzydniówka” i chciał, nie chciał, trzeba iść. Może taka „workowa” ochrona nie jest specjalnie elegancka, ale chyba w tym przypadku walory estetyczne nie grają kluczowej roli, raczej liczy się skuteczność. Choć z biegiem lat wymieniam części wyposażenia na nowocześniejsze, to nadal w kieszeni na klapie plecaka zawsze jest mój foliowy ochraniacz. No właśnie. Żeby skutecznie chronić turystyczny dobytek przed deszczem, środki tej ochrony powinny być łatwo i szybko dostępne. Zatem wszelkie pokrowce, a także ubiory przeciwdeszczowe turysty należy pakować do kieszeni w klapie, albo do bocznej kieszeni plecaka. To nie może być schowane gdzieś głęboko, zwłaszcza gdy postępuje gwałtowne załamanie pogody, o co w górach nietrudno.

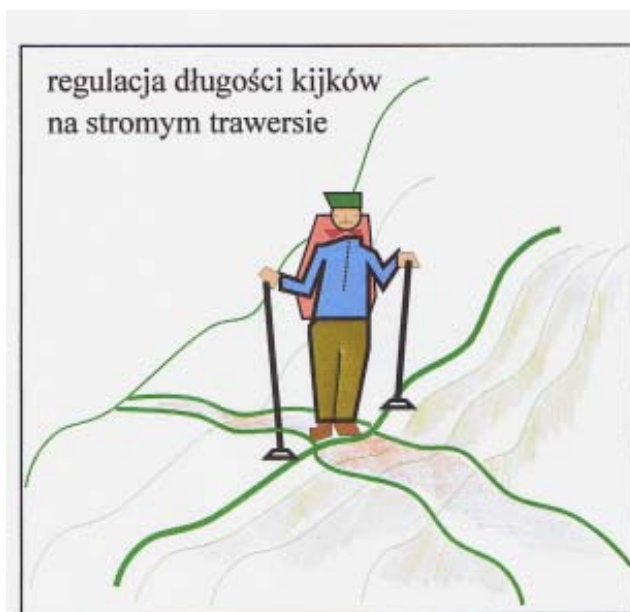
Teraz o butach. Chociaż w „sklepach wielkopowierzchniowych” można kupić „buty trekkingowe” już za 80 zł, to lepiej obejść takie stoisko dużym łukiem. Z wyglądu są ładnie podobne do prawdziwych butów turystycznych, ale na wyglądzie się kończy. Przetestowałem to na swoich stopach. Buty były wygodne, nawet bardzo, tylko bardzo słabe i nieszczelne. Jak woda dostawała się do środka przez podeszwę ze sztucznego tworzywa? Nie wiem. Wewnętrzna wyściółka wytrzymała ze dwa tygodnie chodzenia po kilka godzin dziennie, po czym plastikowa wkładka podarła ją skutecznie. To już lepiej do owych 80 zł dodać jeszcze ze 100, a kto może, to więcej, i poszukać markowych butów w sklepie lub w internecie (wiadomo gdzie, ale tej nazwy wymienić nie mogę). Ja tu o butach z uporem maniaka, a tymczasem po górach wciąż chodzą ludzie (turyści?) w jakichś kłapkach i jesz-

cze to pokazują w telewizji. Zapamiętałem taki obrazek z początku sierpnia podczas relacji ze zmian terenowych po ulewach w Tatrach. Na ekranie było widać dziewczę w klapkach (nawet nie w sandałach „górskich”), chyba na szlaku w pobliżu wierzchołka Grzesia. A więc, można gadać i pisać bez ustanku o używaniu porządnych butów na górskich szlakach, a ludzie i tak robią po swojemu. No i statystyki wypadków rosną. Wszak większość interwencji TOPR i GOPR dotyczy skręceń i złamań nóg. Jakoś to nie dociera do rzeszy wczasowiczów odwiedzających góry. Na dobre buty nie ma co żałować pieniędzy. To od nich zależy jakość wędrowki i stan stóp turysty. Czasem nie uniknie się jakiegoś obtarcia, takie urazy likwidujemy od razu nie dopuszczając do powiększenia rany. Tu przypominam o konieczności zabierania do plecaka indywidualnej apteczki. Dlaczego przypominam? – bo wiele osób nie nosi nawet kawałka plastra z opatrunkiem. Już kilka razy dzieliłem się zasobami z apteczki z lekko „urazonymi” turystami. Brak niezbędnych drobiazgów wynika często z pośpiechu przy pakowaniu przed wyjazdem. Naprawdę, warto to robić na kilka dni przed wyprawą. Jedni zapominają, a inni uważają, że są „nietykalni”, czyli „a co mi się może stać w takich Gorcach czy Pieniach”. Przestrzegam przed taką postawą. Czasem nieopatrzenie nawet drobnych urazów może skutecznie uprzykrzyć wędrowkę.

Już jesień, więc dni coraz krótsze. I jak to czasem bywa wędrowka przedłuża się i przyjdzie turyście maszerować po zmierzchu. To trochę dziwne, ale zauważyłem, że wiele osób zapomina zabrać w góry latarkę. A trzeba ją mieć i to z zapasem baterii. W sklepach turystycznych jest pełno rozmaitych modeli od 35 do ponad 100 zł, głównie typu LED. Różna jest jakość tych diod i latarki (czołówki) renomowanych producentów na pewno są najlepsze. Ale nie trzeba gardzić tymi wyprodukowanymi w Chinach. Już za 20 zł można kupić coś ciekawego, a gdy potłucze się gdzieś, albo zgubi, to łatwiej ją odżałować niż taką za „stówkę”.

Pamiętajmy też o ochraniaczach na buty. To ważny element ubioru. Przydają się zwłaszcza w Bieszczadach, gdzie grzbietowe szlaki wiodą wąskimi ścieżkami wśród wysokiej trawy. Kilkanaście minut marszu taką ścieżką po deszczu lub przy porannej rosie i buty mamy „załatwione”. Idąc zbiera się wodę z traw na wysokość kostek, kolan albo i wyżej. Tam ochraniacze naprawdę się przydają. Nie należy jednak przesadzać z zakładaniem ich na wszelki wypadek. Wielokrotnie widziałem turystów wyruszających na szlak podczas pięknej pogody z założonymi ochraniaczami. Skutkuje to nadmiernym poceniem się stóp i zawilgoceniem butów od środka, jakie by one nie były „oddychające”. Przecież ochraniacze można założyć w dwie minuty. Większość modeli jest zapinanych na zamek z boku, więc nie ma potrzeby zdejmowania butów przy ich zakładaniu.

I na koniec jeszcze raz kilka słów o kijkach turystycznych. Teraz można wybierać w modelach i cenach od 50 do 250 zł. Dostępność w sklepach wcale nie przekłada się na powszechność użytkowania. Ja nadal polecam niezdecydowanym zaopatrzenie się w kije. Przydają się zarówno na łatwej gorczańskiej ścieżce, jak i na nieco trudniejszych szlakach Pilska czy Babiej Góry. Znakomicie pomagają przy przekraczaniu strumieni lub przechodzeniu odcinków błotnistych albo młak. Są bardzo przydatne przy przechodzeniu jesiennych stromych śniegów (Tatry) czy płatów starego śniegu. Na trawersach trzeba wyregulować kije tak, by dostokowy był krótszy, a zewnętrzny dłuższy (rysunek), tak by dłonie trzymające kije były na jednakowym poziomie. Czasem z lenistwa nie robi się tej regulacji i wtedy kije nie spełniają swojej roli.



To tyle uwag i przypomnień przed jesiennym sezonem. Do jesiennych wypraw trzeba przygotować się sumiennie, aby nic nas w górach nie zaskoczyło. Pamiętajmy, że w Tatrach już w październiku, a i we wrześniu może spaść śnieg i... temperatura, i warunki na szlaku mogą się w ciągu 2-3 godz. zmienić radykalnie. Trzeba być na to przygotowanym.

KONSERWACJA I PRZECHOWYWANIE ZNACZKÓW METALOWYCH

Co pewien czas pojawiają się pytania dotyczące przechowywania, a także konserwacji i zabezpieczaniu znaczków metalowych, które są chętnie kolekcjonowane. Zachęcam czytelników mających doświadczenie w tym zakresie o podzielenie się doświadczeniem na łamach „Na szlaku”. Tymczasem zaś wyszperałem tekst **Mieczysława Kołodziejczyka** przygotowany na ogólnopolską wystawę i sesję kolekcjonerską pod nazwą *Odznaki i znaczki turystyczno-krajoznawcze*, która odbyła się w Łodzi od 9 do 10.02.1985 r. Zamieszczony poniżej tekst niewiele stracił na aktualności i przynajmniej częściowo odpowie na pytania zadane na wstępie.

Konserwacja znaczków

Konserwacja polega na usuwaniu skutków działania upływu czasu – starzenia się, szkodliwych czynników atmosferycznych, nadmiernej wilgotności, wyziewów chemicznych itp. oraz uszkodzeń mechanicznych.

Uszkodzenia mechaniczne

- 1. Uszkodzenia emalii szlachetnej na znaczkach** – uzupełnienie lub wymianę należy powierzyć odpowiednim zakładom grawerskim.
- 2. Uszkodzenia emalii olejnej lub nitro** – można zlecić do zakładu lub wykonać samemu. Przy wykonywaniu we własnym zakresie należy usunąć starą powłokę i położyć nową pędzelkiem dobranym kolorem uzupełnić braki. Jednak dobranie identycznego koloru jest bardzo trudne, dlatego lepiej jest usunąć stary kolor i nałożyć ten sam lub podobny na całej powierzchni. Powierzchnię pod malowanie należy dokładnie oczyścić, następnie odtłuścić (myjąc rozpuszczalnikiem). Farbę (najlepiej renowacyjną) наносimy małym pędzelkiem cienką warstwą. Całą płaszczyznę należy następnie pokryć lakierem zabezpieczającym.
- 3. Zmiana kształtu znaczków.** W tym przypadku należy mu nadać kształt pierwotny w sposób niepowodujący uszkodzenia płaszczyzny znaczka. Wykonywać to należy młotkiem gumowym, drewnianym itp. Przy znaczkach pokrytych emalią przy zmianie kształtu najczęściej następuje uszkodzenie i wypadnięcie emalii. W tym przypadku po przywróceniu prawidłowego kształtu należy podjąć uzupełnienie emalii jednym z podanych wyżej sposobów.
- 4. Brak uchwytu do zamocowania znaczka** (brak szpilki, agrafki lub śrubki z nakrętką). Najprostszym sposobem nie powodującym uszkodzeń znaczka jest przyklejenie klejem „Distal” (do nabycia w składnicy harcerskiej wraz z przepisem klejenia) jednego z elementów mocujących tzn. szpilki, śrubki itp.
- 5. Usuwanie nalotu z metalu, z którego znaczek jest wykonany.** Najczęściej zakłady produkujące znaczki zabezpieczają jego powierzchnię, ale w większości przypadków na skutek działania warunków atmosferycznych, niewłaściwego obchodzenia się ze znaczkiem powłoka ta ulega uszkodzeniu, co w konsekwencji prowadzi do pokrywania się metalu nalotem. Część osób zbierających znaczki wyznaje zasadę, że znaczek, który pokrywa patyna i najczęściej na nim nic nie widać, jest wartościowszy. Według mnie, znaczek powinien wyglądać tak jak w chwili opuszczenia zakładu produkującego, a warunek ten może być spełniony tylko w przypadku pokrycia znaczka powłoką ochronną. Trwałą powłokę, której nie należy poprawiać i uzupełniać, wykonuje, jak dotychczas, zakład prowadzony przez p. Musiał w Katowicach i p.

Musiąca w Jabłonnej pod Warszawą (powłoki żywicowe). W pozostałych przypadkach (z własnego doświadczenia) powłoki są niezbyt trwałe albo brak ich zupełnie. Przy znaczkach, których wygląd jest idealny, należy tylko wykonać powłokę lakierowaną malując pędzlem lub natryskiem znaczek. Najczęściej jednak znaczki, które do nas docierają, są pokryte nalotem i są niezbyt czytelne. W tym przypadku postępujemy następująco:

- na kawałek filcu lub flaneli nakładamy pasty polerskiej drobnoziarnistej lub pasty do zębów,
- polerujemy znaczek aż do uzyskania powierzchni, o jaką nam chodzi,
- wycieramy znaczek z pasty,
- bardzo delikatnie myjemy znaczek rozpuszczalnikiem (aby nie rozpuścić farby na znaczkach),
- polerujemy znaczek suchą flanelą aż do uzyskania połysku,
- układamy znaczki na tekturce (z dziurkami), tak aby były w poziomie i lakier nie spływał,
- pokrywamy znaczki lakierem. Lakier, najczęściej nitro, наносimy pędzelkiem lub natryskiem (najlepiej).

Po wyschnięciu znaczki są gotowe do dalszego eksponowania i przechowywania.

Żadna jednak powłoka ochronna nie będzie trwała przy niewłaściwym obchodzeniu się i przechowywaniu znaczków.

Przechowywanie znaczków

Przy należytych przechowywaniu należy uwzględnić cztery podstawowe zasady:

1. Znaczek nie może ulegać uszkodzeniu,
2. W każdej chwili powinien być łatwy do odszukania,
3. Całość kolekcji powinna być przejrzysta – łatwa do oglądania, selekcionowania itp.,
4. Magazynowanie znaczków powinno mieć powyższe trzy cechy, nie powinny one zajmować zbyt dużo miejsca.

Ze sposobów przechowywania możemy wyróżnić następujące cechy:

- a) luzem w pojemnikach – brak wszystkich czterech zasad przechowywania,
- b) luzem w specjalnych szufladkach – brak częściowo zasady trzeciej i czwartej, gdyż należy wykonać specjalną szafę, a przy dużej kolekcji ma ona znaczne wymiary,
- c) na poręczkach lub bieźnikach (małe, duże) – przy tej metodzie znaczki są narażone na działanie czynników zewnętrznych, tzn. kurzu, zmiany wilgotności oraz mechaniczne uszkodzenia. Poza tym potrzebne są dość duże powierzchnie ścian do powieszenia.
- d) albumy fotograficzne – typowe albumy posiadają zbyt cienkie, a tym samym wiotkie kartki do mocowania ciężkich znaczków. Przy tej metodzie możemy nie zachować pierwszej zasady.
- e) karty albumowe wykonane z twardej tektury spięte w większe albumy, np. segregatory z przekładkami.

Poza wymienionymi sposobami przechowywania mogą być inne także właściwe, jeżeli spełniają wyszczególnione zasady.

wyszperał: *Henryk Paciej*



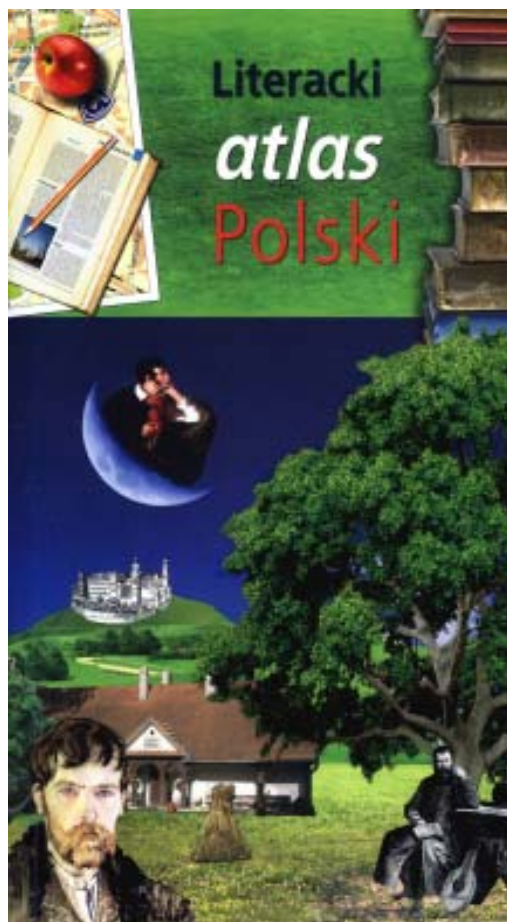
Odnaki PTTK na wystawie podczas 36 CZAK-u

Krzysztof R. Mazurski

LITERATURA NA MAPIE POLSKI

Pozyskać dziś czytelnika, *ergo* pieniądze, nie jest łatwo. Spore sukcesy wykazuje w tym zakresie wydawnictwo BEZDROŻA, będące własnością spółki AMISTAD. Wraz z partnerami pozyskało środki Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Promocja czytelnictwa” i wydało zgrabną książkę przy zaangażowaniu szkół z całej Polski. Ideę zebrania informacji o wszystkich miejscach upamiętnionych nazwiskami literatów i poetów starał się zrealizować w ramach Komisji Krajoznawczej ZG PTTK Ryszard Harajda. Niestety, jego śmierć zastopowała prace. W prezentowanej pozycji otrzymujemy natomiast opisy sylwetek niektórych twórców (jaka była zasada doboru, bo nie wszystkich, tego nie wiadomo) ulokowanych w konkretnych przestrzeniach kraju. Są to biogramy, wypowiedzi, anegdoty zarówno Polaków i Niemców – zwłaszcza na Śląsku. Wszystko bogato ilustrowane, z planami miejscowości, podawaniem licznych źródeł. Poszczególne postacie łatwo odnaleźć dzięki mapkom z fotografiami/rysunkami na wewnętrznych stronach rozkładanych okładek. Całość ułożono województwami. Do tego oczywiście stanowią informacje krajoznawcze, które zresztą przeważają. No i tu trochę kłopotów. Skupię się na najlepiej mi znanym obszarze.

Województwo dolnośląskie (co za bzdura mówić „nowocześnie” *Dolnośląskie*, skoro jest Dolny Śląsk?!) opracowała Joanna Roszak – jak na podstawie internetu można przypuszczać: literaturoznawca z Poznania. Właśnie – zdecydowanie twierdzą, że region powinni opisywać pochodzący z niego, a nie zajmujący się nim na odległość. Efektem spora lista usterek i błędów. Przykładowo, autorka bezkrytycznie powtarza za Normanem Davisem (przereklamowanym zresztą) rzekome nazwy Wrocławia, jak Wortizla, Presslaw (s. 7). A ten światowej sławy historyk nie odróżnia zapisu dokumentarnego od pojęcia nazwy, czyli określenia faktycznie stosowanego. Podobną postawę przyjęła autorka w przypadku Nowej Rudy (s. 17): Nowinrode, Newenrod. To nazwy miejscowości?! Dala się też zbałamucić lansowanej od niedawna przez niektórych wrocławskich historyków, że Uniwersytet Wrocławski powstał w 1702 r. Tymczasem jest to data wydania edyktu erekcyjnego, aż do początku XIX w. jezuita nie byli w stanie zorganizować uczelni na poziomie uniwersyteckim i dopiero Prusacy utworzyli w 1811 r. Uniwersytet Wrocławski po połączeniu katolickiego kolegium z ewangelickim Uniwersytetem we Frankfurcie nad Odrą. To takie „uszlachetnianie” rodowodu i zwykłe nadużycie historyczne. A w stolicy Śląska jest 25, a nie 12 wyższych uczelni. Dlaczego Angelus Silesius jest jedną z najbardziej tajemniczych postaci Wrocławia (s. 10)? Wiadomo o nim wystarczająco dużo, przydałaby się choćby wzmianka, dlaczego tak tajemnicza. Niemiecki poeta romantyczny nazywał się Joseph von Eichendorff, tak zresztą w części opolskiej tytułowany (s. 158). Kto zna Karkonosze, ten wie, że trasa na Śnieżkę koło „Samotni” jest najłatwiejsza, a nie najtrudniejsza – nie licząc oczywiście wyciągu (s. 14). Kolejne bezsen-



sowne powtarzanie domorosłych znawców języka: Hauptmann wybudował sobie okazałą willę nazwaną Wiesenstein (s. 16). Ale to żaden Łąkowy Kamień!!! Końcówka –stein w takich niemieckich złożeniach co najmniej w połowie określa obiekt jako zamek (np. Fürstenstein – dzisiejszy Książ). Byłby to *stricte* Łąkowy Zamek, które to miano twórca nadał ze względu na podobieństwo budynku do małego zamku. *Lower Inferior* (s. 6) to chyba wypadek przy pracy – hybryda angielsko-łacińska, poprawnie Silesia Inferior. A już z Liczyrzepą, prześmiewczą nazwą karkonoskiego Ducha Góra (s. 19), naprawdę czas najwyższy skończyć! Ta niemiecka opowiadka jest w istocie wymierzona w lokalnego, słowiańskiego mieszkańca, więc lepiej korzystać z rodzimego, na czeski wzór, Karkonosza, zyskującego coraz większą popularność. Z błędów woj. opolskiego, opracowanego przez Tomasza Maciejczyka (opolski dziennikarz? Internet pokazuje wiele osób o tym nazwisku), skorygować należy obecność tam na południu Pogórza Sudeckiego (s. 146). Jest Przedgórze Sudeckie i Góry Opawskie. Usterka w nazwisku: Johan Graf von Pfeil (s. 148), zaraz natomiast Johan graf von Pfeil. Primo: Johann, secundo: graf to po prostu hrabia. Winda paternoster (s. 149) jest też we Wrocławiu. Nie ma zabytków klasy zerowej, tym bardziej ich europejskiej listy (s. 157). Nie ma też Starego Miasta w Brzegu czy Głucholazach, to określenia przeniesione żywcem z Warszawy. Vinzent Priessnitz ucieśliły się zapewne z tytułu doktora (s. 161), ale on był po prostu zwykłym chłopem, bez tak wysokiej edukacji. A że wiele dobrego wymyślił, to inna sprawa. Wtedy nie szafowano (gdyby tak najwyżej było) doktoratami honoris causa, jak dziś! Ciekawe też, dlaczego woj. zachodniopomorskie wyróżniono tak bogatym wykazem stron internetowych (s. 323).

Trochę dużo się tego nabierało. A w innych województwach? Strona literacka i edytorska są w porządku, na szczęście ich wartość przeważa. Widać jednak, że autorzy są dość cieni w sprawach krajoznawczych. Dawniej w wydawnictwach zatrudniano redaktorów znających (przynajmniej w dobrych materiałach) teren przez nich opracowywany. No cóż, oszczędności... Mimo wszystko – pozycja udana, ale warto jak najszybciej doprowadzić do wznowienia celem usunięcia tych i innych zapewne błędów.

Literacki atlas Polski. Red. B. Górka. Kraków: Amistad 2008, 336 s. ISBN 978-83-7560-021-6.



Jerzy K. Bieńkowski

TRZY OPRACOWANIA ZNAD KACZAWY

Podczas majowo-czerwcowego pobytu w Polsce wpadły mi w ręce trzy opracowania dotyczące Gór i Pogórza Kaczawskiego.

Pierwsze z nich nosi tytuł „Gmina Świerzawa. Perła Gór i Pogórza Kaczawskiego”. Wydał je w 2006 r. Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Świerzawie. Folder liczy 49 stron, jest ilustrowany kolorowymi zdjęciami, zawiera trzy plany i mapę okolic miasta. W treści autorzy(?) najpierw omawiają gminę, jej położenie i walory krajobrazowe, podział administracyjny i dokonania, a potem prezentują kalendarz stałych imprez. Następnie kolejno przedstawiają Świerzawę i ważniejsze wsie na swoim terenie. Dobrą stroną tego opracowania są podrozdziały ‘Twórczość lokalna’ oraz ‘Gdzie przenocować’, ilustrowane zdjęciami i wzmacniane adresami. Oryginalny jest również dobrze opracowany rozdział ‘Szlaki rowerowe’. Mocną stroną folderu jest także tłumaczenie na jęz. niemiecki. Jednak minusy przeważają! Przeciętny czytelnik nie zauważy tego, co dojrzy sokole oko recenzenta: zasadniczą treść folderu opracowano na podstawie *Słownika Geografii Turystycznej Sudetów* t. 6 i 7, o czym nie ma żadnej wzmianki. Nie byłoby w tym nic nagannego, gdyby nie fakt, że autorzy przepisali stamtąd wszystkie błędy, pomyłki, a nawet literówki w datach! Świadczy to, że raczej ścigali niż korzystali z tekstu. Gdyby nazwy: Rów Świerzawy i Rów Jerzmanic (s. 1) były prawidłowe, to musielibyśmy mówić: Góry Kaczawy i Pogórze Złotoryi. Kto jak kto, ale mieszkańcy Świerzawy powinni być chyba najmniej zainteresowani w używaniu nazwy Pogórze Wojcieszowskie (s. 12). Pogórze w górach? Sceptykom radzę wybrać się z Dobkowa na Marciniec. Wówczas nogi powiedzą

im same, czy są w górach, czy na pogórzu. Wyrobisko melafirów koło Lubiechowej nazywa się istotnie Łomy (s. 2), ale góra, w której znajduje się, nosi urzędową nazwę Chmielarz (Hopfen B.). Chrośnicka Przełęcz (s. 17) jest pomyłką T. Stecia, która trafiła na mapę w 1970 r. Należy używać nazwy Chrośnickie Rozdroże, ponieważ prawdziwa Chrośnicka Przełęcz znajduje się w Chrośnickich Kopach.

Szanowni Autorzy! Jesteście tak blisko Widoku, że możecie udać się tam pieszo. Dlaczego więc uparcie nazywacie to miejsce przełęczą? Widok jest kulminacją, przez którą przechodzi historyczna szosa z Legnicy do Jeleniej Góry. Właściwa przełęcz oddziela Widok od Kobylej Chrzepty i jest kilkaset metrów na wschód od Widoku. Nosi nazwę Przełęcz pod Widokiem. Czy to jest takie trudne do opanowania? Na Widoku rozłożyła się najwyższa część wsi Podgórkki o polskiej ludowej nazwie Kapela. Obecnie są to trzy domy. Kapela jest nazwą miejscową, a nie oronimem. W jęz. polskim leksemy: Kapela i Kaplica pisze się przez jedno l. Nowotwór *Kapella* jest chrematonimem, tj. nazwą wyrobu. Chodzi o wodę stołową 'Kapellanka' produkowaną u źródeł Świerzawy w Podgórkach. Czy chcecie górom nadawać nazwy w stylu: Napoleonka, Coca-Cola, Skoda, Wazelina? Ludzie, nie dajcie się zwariować!

Człowiek ciągle uczy się! Dlatego chciałbym wiedzieć, kto i gdzie polecał Jask. Walońską (s. 27) jako „jedną z największych atrakcji Gór Kaczawskich”? Autor tej nazwy – Krzysztof R. Mazurski, zapewnił mnie, że to nie on. Nazwę nadał w 1983 r. dotychczasowej Jaskini w Podgórkach (Matzenloch – Maćkowa Dziura) dla upamiętnienia działalności Walończyków w Sudetach. Tak więc jest to nazwa pamiątkowa, w żadnym wypadku nie legitymizująca działalności Walończyków w Górach Kaczawskich. Walończycy nie szukali agatów, tylko złota, srebra i kamieni szlachetnych. W Sudetach działali w Karkonoszach, Górach Izerskich i na Ziemi Kłodzkiej. Dodajmy, że działali półlegalnie, gdyż regale należało do księcia, ale tolerowano ich za prawdopodobne usługi szpiegowskie. Dobrze byłoby, aby stosowni urzędnicy przestali wreszcie wygłupiać się i umieszczać w terenie tablice o takiej działalności Walończyków nad Kaczawą! Prawdziwą ironią jest to, że do tych ekscesów dokłada się Unia Europejska!

Z osłupieniem dowiaduję się, iż kamieniczki otaczające świerzawski rynek (s. 7) „ustawione są kaletnicowo”! Stan mojego zadziwienia wpłynął chyba na tłumacza, który nie wiedział, jak sobie z tym poradzić, i dlatego w tekście niemieckim zostawił ten zwrot.. po polsku! W świerzawskiej bibliotece w każdym słowniku można sprawdzić, jaka jest różnica między kalenicą a kaletnictwem. Ile razy trzeba jeszcze wyjaśniać, że nazwa 'zbór ewangelicki' (s. 30) dotyczy parafii, a nie świątyni. Nazwa trasy łączącej Rzeszówkę z Muchowem brzmi Rzeszówecka Droga (s. 47), taki bowiem przymiotnik ustaliła KUNM od nazwy wsi. Rzeszowska Droga jest w Rzeszowie, ale to nie Sudety. Leksemy: wygorzel, zgorzel i... gorzelnia, są rodzaju żeńskiego, dlatego prawidłowo powinno być: 'w masywie Wołka i Wygorzeli...' (s. 1). Autorzy do znudzenia powtarzają nazwę potoczną Organy Wielisławskie. Wypada przypomnieć, że KUNM nie stosowała w Sudetach Zachodnich przymiotników pochodzących od nazw miejscowych dla nazw obiektów fizjograficznych. Poprawniejsze są Wielkie Organy.

Ciekawy jest warsztat tłumacza. Raz podaje, a innym razem pomija niemieckie nazwy miejscowe sprzed 1945 r. Nie będę jednak znęcał się i zaciągnę kurtynę wyrozumiałości. Nie mogę, niestety, zrobić tego odnośnie nazw terenowych, gdyż tłumaczenie jest z kategorii osobliwych. Oto zestawienie tych nazw: pierwsza jest nazwa polska w tekście, potem tłumaczenie na jęz. niemiecki a ostatnią jest nazwa niemiecka przed 1945 r..

Kamiennik	Fluss Kamiennik	Stein-Bach
Wilcza	Nebenflusses Wilcza	Wils-Bach
Kapliczna	Kapliczna	Kapellen-Berg
Młynka	Zuflusses Młynka	Keller-Bach, Ettet-Bach
wzgórze Okole	Berg Okole	Hogolie
Czerwony Kamień	Roter Stein	Geiers-Berg
Przełęcz Widok	Pass Przełęcz Widok	Kapellenberg
Skopiec	Skopiec	Melkgelte
Maślak	Maślak	Butter-Berg
Kobyła	Kobyła	Das Alte Pferd
Krzyżowa	Krzyżowa	Kreuz-Berg

Radostka	Radostka	Freuden-Berg
Jaskinia Walońska	Die Wallonische Hohle	Matzenloch
Czermnica	Czermnica	Rothe-Bach, Rote-Bach
Muchowski Las	Mochauer Wald	Mochen-Wald
Organy Wielisławskie	Grossen Orgel	Grosse Orgel
Wielisławka	Willenberg	Willen-Berge

Powstrzymam się od komentarza, bo każdy widzi, jaka była metoda i efekty. Nie mam zamiaru obwiniać tłumacza, który nie musiał znać się na geografii, ale ktoś podjął się chyba roli autora i jak najbardziej powinien za to odpowiadać i dopilnować. Poza tym, oszczędność na korekcie i recenzji nie zawsze wychodzi na zdrowie. To, co mogło czytać kilka osób, dzisiaj czytają wszyscy. Taka różnica... I wreszcie największe curiosum, którym autorzy przebili wszystko. Na s. 37 zamieszczono zdjęcie mające ilustrować imprezę Wianki pod Wielisławką. Tymczasem ilustruje ono skandaliczny brak w Sędziszowej panien z wiankiem. Na zdjęciu łysy jegomość z wieńcem na głacy, czule podtrzymywany przez drugiego obywatela, puszcza swój(?) wianek. I nie jest naprawdę istotne, czy go puszcza, czy raczej wylawia, bo i tak czytelnicy folderu zinterpretują tę scenę jednoznacznie.

Nie wiem, kto jest autorem tekstu, tłumaczenia i zdjęć. Sprawcy okazali się ludźmi skromnymi i nie chcieli pochwalić się swoimi nazwiskami. Drodzy Autorzy! W Świerzawie jest tyle dobrego do zrobienia. Dobierzcie kogoś mądrego do Waszego grona, albo dajcie sobie spokój z pisaniem folderów i nie daj Boże, przewodników. To nie jest zajęcie dla Was!

Drugie opracowanie zatytułowano: „W krainie wygasłych wulkanów. Przewodnik”. Wydawcą jest Stowarzyszenie Kaczawskie z siedzibą w Mściwojowie. Folder jest rozmiarów kieszonkowych, liczy 50 stron, zawiera dwie mapki i mnóstwo kolorowych zdjęć. Tekst opracowało dziesięć osób: B. Castaneda-Trujillo, M. Foryś, M. Kamińska, R. J. Kudelski, G. Męczyńska, P. Norko, R. Plezia, E. i K. Rozpędowscy, A. Ruszlewicz. Przyznam szczerze, że tekst przeczytałem z dużym zaskoczeniem i niedowierzaniem, ponieważ nie spodziewałem się tak dobrej pracy. Godne pochwały i uznania jest to, iż autorzy w zdecydowanej większości piszą własnymi słowami i z serca, próbując nas przekonać, dlaczego powinniśmy odwiedzić ten piękny region i czego tam możemy się spodziewać. Na dobre folderowi (nie przewodnikowi!) wyszło i to, że każdy z nich pisze o tym, na czym zna się dobrze. Autorzy nie rzucają w czytelnika gradem dat, nie oszołamiają go detalami architektonicznymi czy skomplikowanymi nazwami formacji geologicznych. Piszą językiem zrozumiałym dla przeciętnego zjadacza chleba, dlatego czyta się tekst szybko i z dużym zainteresowaniem. I to jest właśnie strzał w dziesiątkę, bo taki powinien być folder. Z jedenastu rozdziałów za najciekawsze uważam ‘Niezwyczajne bogactwo przyrody’, ‘Powojenne tajemnice Gór i Pogórza Kaczawskiego’ oraz ‘Produkty lokalne krainy wygasłych wulkanów’. Tekst jest dobrze ilustrowany zdjęciami podkreślającymi różnorodną tematykę. Przed całkowitą euforią powstrzymuje mnie stosowane w nim nazewnictwo.

Nazwę ‘Szynowisko’ (s. 5) traktuję jako literówkę. Chodzi o Szybowisko. Warto zauważyć, że ten grzbiet ma dwie kulminacje: Łupkową (Schiefer-B.) na zachodzie i wyższą Szybniczą (Galgen-B.) na wschodzie. Ta druga nazwa, chociaż nie ma nic wspólnego z szybowcami, jest notorycznie przekręcana na Górę Szybowcową. Niestety, również i tutaj (s. 16). Zbiornik Słup (s. 6) jest nazwą własną, dlatego dużą literą. Dodam, że niezbyt prawidłową. Tego typu nazwy pochodzą z planów inżynierskich. Prawidłowo: Zbiornik Słupski lub Zbiornik w Słupie. O Wielkich Organach pisałem wyżej. Tutaj autor przedobrzył: Wielkie Organy Wielisławskie to dwie nazwy w jednej. Co za dużo, to niezdrowo! Za wymienienie na egzaminie przewodnickim nazwy Kaczawy (s. 8) lub Izery T. Steć oblewał delikwenta. Może dlatego przewodnicy, którzy wyszli spod jego ręki, takich nazw nie używają, ale młodzi(?) czterdziestolatkiem lubują się w młodzieżowym slangu. Kaczawy to po prostu liczba mnoga od nazwy rzeki Kaczawa. A przecież wszyscy wiemy, że jest tylko jedna Kaczawa. To już nawet nie jest uniwersalizacja, lecz zwykłe upośledzenie. Elfy (s. 11) w Polsce od lat nazywamy skrzatami. Ładnie i swojsko. Jako odkrywca Okopów w masywie Maślaka z rozbawieniem czytam o ‘tajemniczych Szwedzkich Szańcach nieznanego pochodzenia’ (s. 14). Jeżeli szwedzkie, to dlaczego nieznanne? A tak poważnie, to Szwedzkie Okopy (nie szance!) będą wówczas, jak archeolodzy skończą autostrady i znajdą czas na inne niedochodowe zajęcia. Może dożyję... O słynnej ‘Przełęczy Widok’ napisałem

już tyle, że wystarczy! Radzę nazwę wymazać z pamięci! Poza tym pragnę zauważyć, iż Pogórze Kaczawskie wcale nie jest największe w Sudetach (s. 5), bo większe jest Pogórze Izerskie. Za to z pewnością jest najpiękniejsze.

Na koniec zostawiłem sprawę przykrą. Na s. 16 jeden z autorów napisał: 'W 1945 r. i później krył się tu rozbójnik-partyzant Czarny Janek'. Jest to wyjątkowo niezręcznie sformułowane zdanie. Określenie 'rozbójnik-partyzant' ma charakter antonimiczny i brzmi jak 'łotr-bohater'. Albo pierwsze, albo drugie! Wprawdzie na s. 31 inny autor ratuje sytuację pisząc, że Jan Bogdziewicz-Czarny Janek był członkiem AK i WiN, co już daje dużo do myślenia z uwagi na czasy, w jakich działał. Jest polską tragedią, że młody 28-letni chłopak odważnie stanął we wrocławskim więzieniu przed łufami plutonu egzekucyjnego, które skierowali w niego jego rodacy. Nie zasłużył sobie na miano 'rozbójnika'! Tymczasem ludzka naiwność nie zna granic. W dalszym ciągu istnieją rozgorączkowani głupcy poszukujący skarbu Czarnego Janka. Dla Jana Bogdziewicza skarbem była Wolna Polska i ten skarb pozostawił nam.

Ostatnie opracowanie to „Góry i Pogórze Kaczawskie. Europejskie dziedzictwo przyrodnicze”. W 2004 r. wydał je Klub Przyrodników w Świebodzinie dzięki pomocy finansowej Unii Europejskiej. Jest to znakomicie wydana i opracowana książka licząca 100 stron i dwie mapki, bogato ilustrowana kolorowymi zdjęciami Andrzeja Ruszlewicza i Jacka Czepnika. Tekst napisał zespół dziesięciu osób: M. Cieślak, J. i M. Furmankiewiczowie, I. Kijora, W. Mazur, Cz. Narkiewicz, A. Ruszlewicz, K. Struś, A. Szlachetka i K. Świerkosz. Z sześciu rozdziałów popisowym jest jeden: 'Oczarowanie przyrodą Gór i Pogórza Kaczawskiego'. Autorzy naprawdę oczarowują przedstawiając przyrodę obu mezoregionów, a przy tym ilustrując tekst wspaniałymi zdjęciami. Ten jeden rozdział stanowi trzon całej pracy, ponieważ liczy 60 stron! Do tekstu dołączono bogaty zestaw literatury i adresów internetowych, gdzie można poczytać więcej o Górach i Pogórzu Kaczawskim. W tym miejscu muszę wytknąć brak dwóch adresów: www.partnerstwokaczawskie.pl oraz www.kaczawskie.eko.org.pl. Książkę napisano na bardzo wysokim poziomie merytorycznym, ponieważ większość autorów jest zawodowo związana z przyrodą. Dlatego w kwestiach fachowych niewiele mogę dodać. Co innego nazewnictwo.

Autorzy cytują kolekcję 'kulawych' nazw, o których była już mowa: Przeł. Widok (a jakże!), Zbiornik Słup, Góra Szybowcowa i Organy Wielisławskie. Dołączają do niej własne osiągnięcia: Małe Organy Myśluborskie (zamiast: Małe Organy), oraz ustawiczne mylenie nazwy rezerwatu przyrody z nazwą geograficzną. Zilustruję to dwoma przykładami. Kiedy autorzy piszą: rez. Wąwóz Lipa czy „Ostrzyca Proboszczowicka”, to są to nazwy urzędowe rezerwatów przyrody ustanowione przez Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody. Gdy jednak piszą: Wąwóz Lipa i Ostrzyca Proboszczowicka, to mamy do czynienia z nazwami obiektów fizjograficznych, nieprawidłowymi pod względem geograficznym i językowym. Wąwóz i debrza to wcięcia erozyjne o suchym dnie (debrza jest krótsza). Tymczasem owym „wąwozem” płynie potok! Polski jest językiem fleksyjnym, co oznacza, że nazwy miejscowe, terenowe i osobowe odmieniają się. Prawidłowa nazwa obiektu powinna brzmieć: 'Wądół Lipski'. Co do Ostrzycy, to należy przypomnieć, iż KUNM w 1949 r. ustanowiła taką właśnie formę nazwy urzędowej, rezygnując z przymiotników od nazw miejscowych. Mamy dzisiaj dużo gorliwców, którzy ten 'brak' pragną nadrobić. Na marginesie muszę przypomnieć, że w 1946 r. KUNM ustaliła urzędowy przymiotnik od nazwy wsi Proboszczów. Brzmi on 'proboszczowski'. Tymczasem 'proboszczowicki' to też urzędowy przymiotnik, ale... od nazwy wsi Proboszczowice w pow. gliwickim! Pan Zagłoba w takich sytuacjach mówił coś na temat oleum... Drobniejsze błędy traktuję jako potknięcia: St. Kraśnica a nie Kraśnica (s. 15), między Krzeniowem a nie Krzemieniem (s. 13), Krogulce, a nie Krogólce (s. 51), Wilkołak a nie Wilcza Góra (s.15) i Żeleźniak, a nie Żelaźniak (s. 59).

Powstaje pytanie, dlaczego tak egzaltuję się jakimiś folderami? Czy to jest istotne, co tam wypisują? Uważam, że bardzo istotne. Rzesze turystów odwiedzających oba regiony korzystają prawie wyłącznie z takich właśnie opracowań, a nie ze słowników, przewodników czy rzetelnych prac popularno-naukowych (jak ta, o której była właśnie mowa). Dlatego do wielkiego problemu urasta troska o poziom wiedzy o regionie, jak i sposób jej przekazania i utrwalenia. Można to zrobić dobrze, jak Przyrodnicy ze świebodzińskiego klubu, a można i tak, jak zrobili autorzy związani z ośrodkiem świerzawskim. Szkoda, że fundusze dające lekką ręką pieniądze na taką twórczość nie interesują się jakością ich wykorzystania.

Krzysztof R. Mazurski

Letnie wspomnienia z Beskidu Żywieckiego

Nie do wiary, jak to lato przeleciało! Cały rok człowiek czeka, a potem raz, dwa... i znowu jesień. To moje pożegnanie (na jakiś czas oczywiście) z najbardziej ulubionymi – poza Sudetami, polskimi górami. Wędrowałem po nich w pełni sezonu, sam, na szlakach prawie nikogo, a jeżyn, malin, jagód – zatrzęsienie! Wprost nie można było przejść, stąd wszystkie czasy przewodnikowe i drogowskazowe wydłużały się wielce, ale przecież nikt nie i nic nie goniła. I pogoda była wspaniała. Wprawdzie od czasu do czasu popadało, a nawet przylało, to ogólnie lato beskidzkie było słoneczne i gorące. Większość ludzi (jeżeli w ogóle tworzyła się owa większość) gromadziła się li tylko przy schroniskach i to tylko niektórych, tam gdzie można było (choćby nielegalnie) dojechać, jak na Hali Boraczej – w dużej mierze mieszkańcy okolicznych „drugich” domów lub letnicy miejscowych gospodarzy. Albo na Hali Miziowej, leżącej na trasie na Pilsko – dumnej górze, górującej nad Korbielowem. Wejść na nią to przecież obowiązek (zresztą przyjemny). Dobrze, że wyciągu krzeselkowego nie dociągnięto do samego szczytu czy do Hali. To by się wtedy działo! Kolejny Kasprowy czy Śnieżka, na którą w sezonie wdrapuje się 10.000 osób!

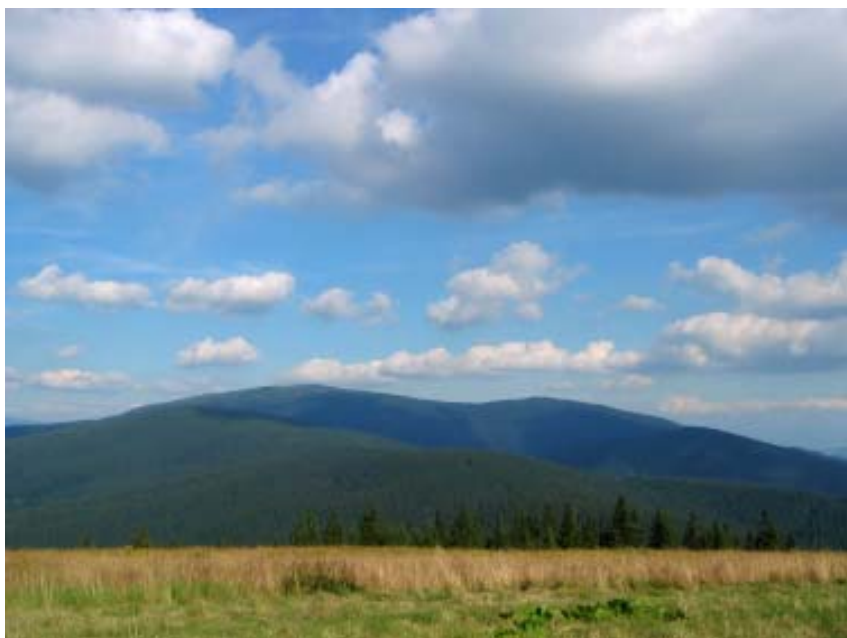
W Oddziale PTTK w Żywcu dbają o szlaki, choć kto wie, czy tylko tam. Szlaków bowiem jest wręcz zatrzęsienie. Na jednym drzewie spotyka się po cztery- pięć znaków, a niekiedy i więcej. No bo tak: jeden albo dwa „zwykłe” piesze, narciarski, konny, ścieżki dydaktycznej, a jeszcze „ozdobiono” papieskimi krzyżykami. Czy niedzielny turysta się w tym może połapać? Żeby choć gdzieś pojawiła się tablica z sygnaturami... A większość chodzi bez map. Sam widziałem, jak przed takimi malowidłami stali bezradni turyści, niewiedzący jak iść. Dobrze, że się napatoczyłem. Szlaki są dla „prawdziwych” turystów, trzeba się najpierw nauczyć samodzielnie chodzić po górach? Akurat, ładnie to brzmi,



Hala Boracza – z lewej schronisko PTTK

ale zdecydowana większość owych „turystów” nie ma bladego pojęcia o turystyce poza tym, że trzeba się niekiedy mocno zasapać. Jakby tego było za mało, to dodatkowo w Paśmie Lipowskiej ponastawiano stacji kalwaryjskich. Bez przesady... Zaś szczyt Pilska – po słowackiej stronie, jakiś gorliwy Polak przekształcił w miejsce liturgiczne: z krzyżem, ołtarzem. A góry ponoć są wszystkich.

Gospodarze schronisk wyraźnie dbają o nich, choć mało kto, niestety, w nich śpi. Na Boraczej wymieniono okna, ocieplono i oszalowano ściany. Rysianka prezentuje się zewnątrz i wewnątrz bardzo przyzwoicie. Turyści, nawet coraz wię-

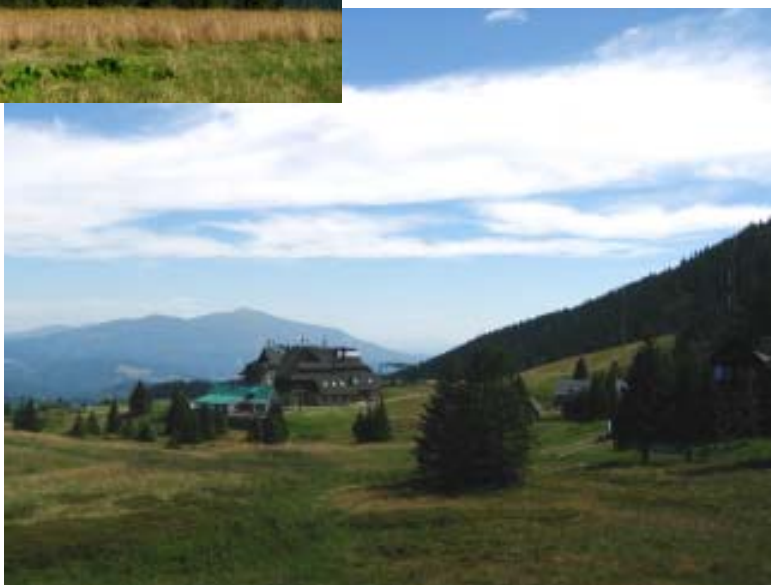


cej z tych „wcześniej” urodzonych, coraz bardziej akceptują bryłę i wnętrze obiektu na Hali Miziowej. Ruch tu największy zimą, ale i poza nią bywa tu wiele passantów. Jak tu zresztą nie wstąpić, kiedy człek zmordowany po podejściu, a na szczyt jeszcze tak daleko! Dzielnie gospodaruje w nim pan Krzysztof, młodszy syn dzierżawcy. Czysto, kuchnia znakomita (jakie naleśniki z jagodami!), co jest zasługą szefa kuchni

Pilsko i Mechy – bliźniacze szczyty

– młodego, ale znającego swój fach. Jest tu tak dobrze, że nie chce się opuszczać schroniska. No więc trzeba po prostu zaplanować kolejny wyjazd w Beskid Żywiecki.

Hala Miziowa



„Na Szlaku” – miesięcznik turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK, odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 071 343 03 44

Kontakt pocztą elektroniczną po kliknięciu na nazwisko.

ISSN 1230-9931



Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła. Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr 38 1090 1522 0000 0000 5201 9117 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.